

#2

QUEEN

s. 44-60

+ KONKURS

DAGADANA

s. 11

Afterpop

ISSN 2084-4999

1,25 zł (w tym 23% VAT)

marzec-kwiecień 2012

SPIS *treści*

Grunt to **BUNT**

Żyjemy w idealnych czasach. Nic nie działa na człowieka tak dobrze jak bunt przeciw otaczającej go rzeczywistości. Bunt może być uzasadniony, na przykład brakiem perspektyw. A gdy uzasadnienia brak, to przecież można zostać buntownikiem bez powodu. Za bunt dostaje się nagrodę. Może to być osiągnięcie konkretnych celów albo po prostu zwrócenie na siebie uwagi. Gorzej, gdy dostaje się karę, na przykład taką jak kilkadziesiąt emów w Iraku! Nas to jednak nie czeka. My możemy buntować się bezkarnie, a w dodatku mamy przeciwko komu, bo coraz częściej nasz rząd – na własne życzenie – staje się reprezentantem zła tego świata. Reasumując: generalnie nie martwi nas brak perspektyw, mamy doskonały obiekt buntu, a w dodatku nikt do nas nie strzela. Cieszymy się i buntujemy.

Tadeusz Bisewski

AfterPOP

numer 2

marzec-kwiecień 2012

ISSN 2084-4999

Zdjęcie na okładce

Ryszard Izydorczak

Redaktor naczelny

Tadeusz Bisewski

Redakcja

Dawid Brykański

Karolina Joisan

Ewelina Leszczyńska

Wojciech Onyszków

Współpraca

Andrzej Piłipiuk

Przemysław Ciszek

Korekta:

Wydawnictwo Ekwita

www.ekwita.pl

Korekta składu

Alicja Bisewska

Wydawca

Słońce-Księżyc

Alicja Bisewska

ul. Gnieźnieńska 8/1

84-230 Rumia

Dźwięk

Obraz

Słowo

Interakcje

PREMIERY

plytowe

Irma

Letter to the Lord



Irma pochodzi z Kamerunu, ale mieszka we Francji. Jakiś czas temu zamieszczała pliki ze swoimi piosenkami na YT, a ostatnio nareszcie wydała płytę. Jedenaście bezpretensjonalnych piosenek. Melodie zgrabne, refreny miłe, lecz dalekie od wyświechtanych. Aranżacje – bardzo oszczędne, głos, gitara, trochę instrumentów w tle, czasem chórki, czasem delikatne smyczki, raz czy dwa odezwie się Hammond czy inna maszyna z klawiszami. Oszczędność środków to zaleta. Głos Irma posiada, bo jak bez głosu śpiewać, żaden wybitny on nie jest, ale o barwie dla ucha miłej i akuratszej, by wyśpiewać czysto to, o czym Irma zaśpiewać chce.

A śpiewa o tym, co widzi, co by chciała zmienić, co jej się podoba, a co nie. Przebojem, który powinien być grany w stacjach radiowych od Tater po Ustkę, powinna być piosenka *I know* albo łagodnie bujające *Everybody*, ale nie będzie, bo nikt nie zapłacił za reklamę. Po zakończonym programie płyty nie należy wyciągać z odtwarzacza, gdyż po dłuższej chwili ciszy jest jeszcze jedna, równie urokliwa ballada. Do Tracy Chapman Irmie jeszcze daleko, ale i tak będę śledził jej karierę. Bardzo ładnie do mnie śpiewała, kiedy pisałem recenzję. I z przyjemnością wybrałbym się na koncert Irmy, by sprawdzić osobście, jak sobie daje radę na żywo. Co i Wam polecam.

The Black Keys

El Camino



Nie jest to złe granie, ale tyle w nim naleciałości, że dawać ocenę dziesięć, czyli „Space Ritual”, to byłoby nadużycie. Płyta przepełniona piosenkami, które może i mogłyby stać się hitami, gdyby nie to brudne brzmienie. Do tego co utwór to słyszę: T. Rex, Led Zeppelin, Black Sabbath i mnóstwo, mnóstwo innych rzeczy. Całość jakby wyjęta z poprzedniej epoki, ale polana elektronicznym sosem. Może taki był zamiar duetu? Jedno przyznaję – muzyka jest tak przygotowana, że za każdym przesłuchaniem odkrywam kolejną warstwę. Cholera, może o to właśnie chodzi. Na tym polega tajemnice Black Keys?

To ja sobie jeszcze posłucham.

The Stranglers

Giants



Dusiciele kontratakują. Pierwszą płytę wydali w 1977 roku i wciąż nie zamierzają składać broni. A to z koncertem przyjadą, a to coś nagrają. Niestety, chyba największe hity już za nimi.

The Stranglers zawsze starali się być trochę w poprzek. Niby punkowcy, ale sięgali po syntezatory, niby zimna fala, ale nie stronią od klasycznych roc-

kowych brzmień. Niby to taki underground, ale *Golden Brown* to pewnie nawet Eskimosi potrafią zanucić. Na najnowszej płycie takiego hitu nie ma i nie będzie. To już nie te czasy. Panowie też uderzają w bardziej ponure tony. Wystarczy zerknąć na okładkę... Taki obrazek, taka „zabawa” nie wróży nic dobrego. Dusiciele bardzo urozmaścili swój nowy krążek. Po otwierającym instrumentalnym *Another Camden*

Skala ocen:

Space Ritual

Stairway To Heaven

To musi być miłość

Dusza diabłu sprzedana

Nadciąga noc komety

I Can't Get No Satisfaction

Welcome To The Jungle

Ta piosenka powstała dla pieniędzy

**

Mam tak samo jak ty

*

Kim jest człowiek, jeśli nie człowiekiem tylko

Afternoon mamy łagodnie rozkołysane *Freedom Is Insane*, potem jest jakby nawiązanie do dokonań ELP i dalej według tej zasady. Żaden utwór nie może być podobny do poprzedniego.

Oczywiście, we wszystkich utworach słychać ten niepowtarzalny bas, z którego The Stranglers słyną. Obawiam się jednak, że jeden bas to za mało.

Niemen

Pamiętam ten dzień



Z przykrością donoszę, że Czesław Niemen nadal nie żyje. Na szczęście udało się w zgodzie i z poszanowaniem jego woli wydać dwupłytowy album, który prezentuje wokalistę od strony... chyba trochę zapomnianej.

Polskie Radio sięgnęło chyba do najgłębszych głębi swego archiwum i na dwóch płytach zebrało archiwalne piosenki Niemena, które zasłużyły na wydanie i przypomnienie. Podarowano nam więc utwory wcześniej niepublikowane, a pochodzące z sesji nagraniowych jeszcze z lat 60. oraz koncertowe – z bardzo różnych lat. Obok wczesnych wersji znanych „hitów” (*Czy mnie jeszcze pamiętasz, Sen*

o Warszawie, Dziwny jest ten świat, Pod papugami) umieszczono piosenki, których gdy się słucha, aż dziw bierze, że to Niemen. Ten Niemien. No bo jak tu się nie dziwić, kiedy Czesław jodłuje w *Piosence tyrolskich górali*, albo modli się w *Ave Maria no Morro*. Można też powiedzieć tak – to tylko odcinanie kuponów po śmierci artysty. W tym wypadku to nieprawda – te nagrania to całkiem nowa płyta.

Korn

The Path Of Totality



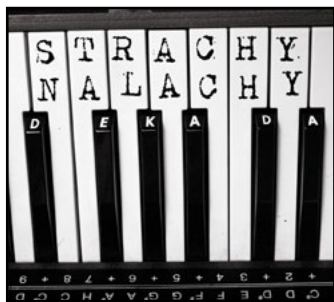
Na swoim dziesiątym (!) albumie Korn postanowił rozprawić się z systemami, w tym totalitarnymi. Na pomoc zwołali gości: Skrillex, Noisia, Downlink, Exision... prawie w każdym kawałku ktoś gościnnie za coś odpowiada. Zrealizowano więc płytę, na której z jednej strony mamy stary, bezkompromisowy Korn, z drugiej Korn podany na nowo. Nu metal? Raczej Nunu metal. Muzyczenie jest to wszystko tak zagmatwane, że nadal słucham i słucham, tyle tu dźwięków przemyślnie poukrywanych w tle. Ale trafiła mi się płyta z bonusowym DVD. I to jest dopiero! Korn wydeptał kręgi w zbożu. Takie jak zostawiają po

sobie łądujący w celu porwania chłopów, chłopiek, dzieci i krów obcy. Ekipa nawiozła trochę sprzętu do grania, trochę do oświetlania i w tej scenerii – bez fanów – Korn daje koncert. Efekt zdumiewający, oryginalny i bardzo, bardzo się podobający.

Strachy Na lachy

Dekada

★★★★★



Zawsze kiedy słucham Strachów Na Lachy, mam wrażenie, że to przede mną pręży się ekipa, która za wzór ma Bieliznę. Punktów wspólnych widzę wiele, a ten składak jest dobrą ich reprezentacją.

Wokalista z Grabaża powiedzmy uprzejmie – średni. Ale ponieważ nie ciąga po rejestry dla niego niedostępne, nie rusza na nie wiadomo jakie wycieczki wokalne, to też wstydu sobie nie robi. Tonacji zawsze się trzyma, ekspresji nadaje tyle i jak potrzeba. Kompozycje to proste piosenki, które można sobie rozpisać na akordy i grać przy ognisku. Na płycie jednak nie trącą banałem, bo w tle gra bardzo kompetentna ekipa. Teksty – to moim zdaniem największa siła Strachów. Niby to poezja, niby to

relacja, ale zawsze trafnie sformułowane, zawsze z jakimś mrugnięciem oka.

Do tej pory Strachy Na Lachy nagrały pięć płyt, na każdej było kilka hitów. Większość zgromadzono na tym składaku. Określenie *Greatest Hits* jak najbardziej na miejscu.

Biohazard

Reborn In Defiance

★★★★★



Biohazard to zespół, który wniósł nowy poziom agresji do metalu i hard core'a. Po rozstaniu w 2005 roku panowie zeszli się właśnie i sądząc po muzyce, nie targały nimi jakieś sentymenty, tylko zdrowe, samcze frustracje.

Płytą *Reborn In Defiance* nowojorczycy przypominają, że z nimi żartów nie ma. Wściekłość i agresja wypełnia każdą minutę tej płyty. Ruch Oburzonych może potraktować twórczość tej grupy jako soundtrack dla swoich działań. Jedyne słuszne „klasyczny” skład grupy nagrał płytę, która zapewne nieźle w całości sprawdzi się na koncertach. Bo słuchając w domu, mam wrażenie, że pot, krew i adrenalina w stanie czystym wylewa się z głośników.

To nie jest płyta dla grzecznych chłopców, to raczej nagrania dla kolesi, którzy w ubiegłym roku zdemolowali Londyn. Rząd jest do dupy, policja to ch*je, a my i tak spuścimy wam łomot. Coś w ten deseń.

Skrillex

Bangarang

★★★★★



Bardzo dziwna płyta – z jednej strony elektroniczny trans (brostep), z drugiej przy współpracy załapali się nawet byli muzycy The Doors. Na płycie – tylko siedem kawałków – mamy przekrój przez chyba wszystkie dźwięki, jakie mogą z siebie wydać współczesne komputery. Do tego wykrzyczane wokale, jakieś gitary, a nade wszystko elektronicznie wygenerowany rytm.

Dałem radę tej płycie kilka razy i wpadłem, we własnym mniemaniu, na genialną pointę: *Bangarang* to płyta dla Japończyków, którzy kiedyś zbyt wiele nasłuchali się Kraftwerk i jak wiemy, wszyscy bez wyjątku są robotami.

Opracował: Dawid Brykalski

Paul McCartney

Kisses On The Bottom

★★★★★



Brzmi jak płyta świąteczna. Zestaw mało znanych kolęd lub muzyczna ilustracja do jakiejś zimowej baśni, opowiedanej w świetle kominka.

Wszystkie utwory zaaranżowane są bardzo podobnie – głównie na fortepian i/lub gitarę oraz kontrabas. Paul udowadnia wprawdzie, że głos ma nadal silny i piękny, lecz co z tego, gdy wykorzystuje go tak nieszczególnie. Pamiętajmy jednak, że ten człowiek ma już 70 lat. Wydaje się, że jest to płyta odpowiednia do jego wieku. Spokojne opowieści dojrzałego, doświadczonego pana.

Mech

ZWO

★★★★★★



Świetni instrumentalisci i jeden z najbardziej charakterystycznych głosów w kraju. Do tego ciekawi goście i rewelacyjna produkcja dźwięku. Wynik nie mógł być inny. Płyta jest bardzo dobra.

Na krążku dominuje gitara z wyważoną ostrością i ciężarem, lecz spotyka się również niespodzianki w rodzaju pseudojazzującego *Kocie, Kocham Cię*. Wszystko gra pięknie, tylko teksty (szczególnie polskie – prócz nich są również angielskie i jeden francuski) nie powalają poetyckością – chociaż w świetle wcześniejszej twórczości pozostają całkiem w normie... Może po prostu liryka nie jest najważniejsza w twórczości tego zespołu. A co jest? Dla mnie to brzmienie. Zawsze świeże, ciekawe, zaskakujące, ale niezmiennie w dobrym guście.

Opracował: *Tadeusz Bisewski*

Fink

Perfect Darkness

★★★★★★★★



Płyta, której niebawem stuknie roczek, ale która nie chce zejść z moich słuchawek. Uzależnienie od głosu Finka, czyli Fina Greenalla, jest nieuleczalne.

A na dodatek sam uzależniony raczej nie pragnie wyzdrowieć, tylko coraz bardziej zatapiać się w tym aksamitnym głosie i dźwiękach, jakie wydobywa ze swojej gitary.

Czwarty album w dorobku gitarzysty i songwritera zabiera nas w słodko-gorzką podróż w głąb perfekcyjnie mrocznych emocji. Stylistycznie nadal oscyluje wokół elektroniki, gitary i hipnotyzującego głosu. Mimo że wydawać by się to mogło nużące, zbyt podobne do wcześniejszych płyt, to jednak Fink ma niesamowitą zdolność do budowania urzekających piosenek, które na długo zapadają w pamięć.

Po kilku miesiącach słuchania tego albumu, z czystym sumieniem mogę zaświadczyć, że nadal pachnie świeżutką nutą.

lamb

5

★★★★★★



Album, na który czekałam bez mała 6 lat. Duet trip-hopowy Andy'ego Barlowa i Lou Rhodesa wystawił swoich fanów na ciężką próbę, ale warto było czekać na taki efekt. Może trochę na pocieszenie w międzyczasie Lou wydała 3 solowe albumy, jednak bez Andy'e-

go za sterami czegoś tym projektom brakowało. Za bardzo skupiały się na głosie Lou, nie proponując nic w zamian. Dlatego gdy tylko pojawiła się „piątka”, pochłonełam ją jak kroplę wody na pustyni.

Album jest wydaniem dwupłytowym, w sumie znajdziemy 19 utworów utrzymanych w pulsującym elektroniką, momentami folkowym stylu. To połączenie tych dwojga utalentowanych muzyków dało po pierwszym odsłuchaniu zachwycający efekt. Jednak po jakimś czasie w głowie zostają tylko melodie paru piosenek, *She walks, Build a Fire*, no i *Back to beginning* – song wyśpiewany w duecie z Damienem Rice’em – perełka, dla której warto wracać do całego albumu.

Younger Brother

Vaccine



Younger Brother to projekt założony przez Simona Pasforda, znanego fana psytrance’u jako Hallucinogen, oraz Benjiego Vaughana aka Prometheusa. W Younger Brother obaj producenci odchodzą od standardów trance’owych w kierunku bardziej komercyjnych dźwięków, mieszając elek-

troniczne bity z żywymi instrumentami. Chociaż wcześniejsze albumy duetu jeszcze oscylowały w granicach gatunku, to *Vaccine* zbliża się miejscami do elektronicznego rocka. Elementem potęgującym to wrażenie jest wokół Ru, którego głos do tej pory był częścią dźwięków, a teraz staje się zupełnie autonomiczny. Przez co album nabiera „piosenkowego” charakteru, a nie tego spodziewali się najzagorzalsi fani Młodszego Brata.

Dla mnie *A flock of Bleeps* i *The last days of gravity* są przełomowymi krążkami, dzięki nim zaczęła się moja przygoda z Hallucinogenem. Ale nie jestem purystką psytrance’ową i doceniam to, że Younger Brother sięga do innych gatunków muzycznych. Odnajduję na *Vaccine* elementy shoegaze’u, post i progresywnego rocka. Wielu krytyków zarzuca wokaliście Ru podobieństwo do barwy głosu Chrise’a Martina z Coldplay. Natomiast ja raczej odnajduję tu głos Stevena Wilsona z Porcupine Tree, co jest chyba adekwatniejszym porównaniem, bo utwory zespołu Wilsona są dużo ciekawsze niż Coldplay’a.

Opracowała: *Karolina Joisan*

DAGA DANA *Twardo bujamy w obłokach*

Dagadana to trio, o którym wiele słyhać. I to wiele dobrego. Płyta ***Dla-
czego nie*** to prawdziwy artystyczny rarytas. W Polsce, w kraju w którym wiecznie „niedasie”, troje przyjaciół nagrało materiał z powodzeniem zyskujący słuchaczy w egzotycznych państwach. Mimo sukcesu, zespół nie osiada na laurach, tylko planuje i planuje. Mam nadzieję, że kolejną płytą zwojują już cały świat, łącznie z jakąś tam Grammy.

Masz już chłopoka na ten rok?

Dagmara Gregorowicz: Na ten ani na poprzedni jeszcze nie.

DagaDana to trzy osobowości – kto, jakie elementy wnosi do zespołu i jego muzyki?

Doskonale się uzupełniamy. Często jest tak, że Dana przynosi szkielet kompozycji, a my z Mikołajem dodajemy swoje pomysły. Mikołaj ma świetne koncepty związane z aranżacją smyczków. Ja z kolei lubię szukać melodii i okraszać wszystko elektroniką. Każdy



ciągnie w swoją stronę, w naszej kopalni pomysłów. Najważniejsze jest to, że słuchamy siebie nawzajem. Dana jako kompozytor dba o całość. Zdziwiłbyś się jednak, jak utwory które znajdują się na płycie różnią się od pierwszych szkiców. Słychać, że lubimy ciągle poszukiwać.

Decyzje artystyczne podejmujecie demokratycznie czy jest lider, który narzuca swoją wolą?

Pełna demokracja z elementami konstruktywnej dyskusji.

Ja wiem, jakie to banalne pytanie – ale... Skąd inspiracje? Banalność pytania wyjaśnię tym, że słuchając Dłaczego nie nie mogę się oprzeć wrażeniu, że stawiacie na bogactwo, multikulturowość oraz... mogę się mylić, ale chyba improwizację?

Kluczową rolę spełnia to, że każdy z nas mimo wspólnych zainteresowań muzycznych słucha zupełnie innej muzyki. Jeśli jest jakaś płyta, która wywiera na nas ogromny wpływ, z reguły jest ona prezentowana pozostałym członkom zespołu. Mamy swoje ulubione płyty, których lubimy słuchać na trasie, m.in.: Caci Vorba, Wołosi & Lasoniowie, Yemen Blues, czy Raz Dwa Trzy, z drugiej strony jest jeszcze w kolejce około 100 płyt, które przywiozłam z Kopenhagi z targów muzycznych WOMEX i w ogóle milion różnych nagrań, z którymi się nigdy nie zetkniemy, a które mogłyby spowodować pójście w inną stronę.

Nasze podróże i spotkania ludzie różnych profesji są jedną z najlepszych inspiracji. Nigdy nie wiesz, co przyniesie dziś, czy jutro, co ma na ciebie największy wpływ, więc śmiem

powiedzieć, że odpowiedź na twoje pytanie mogłaby z powodzeniem przeżyć się w książkę. Zakończę je zatem stwierdzeniem równie banalnym: że czerpiemy z życia, które pisze najlepsze scenariusze.

Folk XXI wieku – zgodzisz się na taką definicję muzyki, jaka pojawiła się na Dłaczego nie?

Nie, nie zgodzę się. Nie mi jest nazywać i tworzyć definicje. Pozostawmy to ludziom, którzy się na tym znają.

Jak zostaliście przyjęci w Malezji, Singapurze i Indonezji? To chyba dość egzotyczne miejsca dla koncertowania...

Przyjęcie było bardzo ciepłe, ludzie po koncertach ustawiali się w kolejkach by z nami porozmawiać, zrobić zdjęcie. Grali razem z nami na dziecięcych zabawkach. Wielu z nich nadal ma z nami kontakt. Wszystko wskazuje, że to dopiero początek koncertowania w Azji.

Co sobie myślisz, kiedy słuchasz piosenek, które są lansowane? Jakie jest twoje zdanie na przykład o Madonnie i Adele?

Madonna to żywa legenda muzyki pop. Pomijając skandale, które nie do końca musiały się przytrafić, jej postać jest po prostu genialna. To postać doskonałe wiedząca, w którym kierunku chce zmierzać – tworzyła nowe trendy zarówno w muzyce, jak i w modzie, czy teledyskach. Adele to genialna wokalistka, choć przyznam się, że nie posiadam jej płyty, to ilekroć słyszę ją w radio, czuję podniosły nastrój i nucę razem ze wszystkimi. Jej piosenki wracają do

najważniejszego po rytmie w muzyce – melodii.

Dobry pop musi mieć dobrą melodię, to dla mnie podstawa. Tylko wtedy piosenka ma szansę być ponadczasową.

Wydaliście do tej pory EP-kę i dwie płyty, a tu taki sukces... W głowach się już poprzewracało, czy twardo stąpacie po ziemi?

Twardo bujamy w obłokach, z nadzieją na granie razem przez całe życie. Przyjaźń zespala i wyjaśnia wszystko. Problemy, które często powodują rozpad kapel u nas nie mają większego przełożenia na nasze istnienie. Dzięki temu, że mamy wiele marzeń i jeste-

śmy konsekwentni w swoich działaniach możemy teraz mówić o efektach tego bujania w obłokach.

Wszystkim polecam taką grupę przyjaciół, z którą chce się zająć na skraj świata i nadal szukać dalej. Co jest ważne grupa cały czas się powiększa poprzez ciągłe koncertowanie i poznawanie nowych ludzi. Akcja wywołuje reakcję. Największym sukcesem jest to, że ludzie w zetknięciu z naszą muzyką nie przechodzą obojętnie. To bardzo budujące.

Rozmawiał: Dawid Brykalski

Zdjęcia: Ryszard Izydorczak



Skromna gwi★zda

Atmosfera była magiczna. Słuchacze w skupieniu chłonęli dźwięki płynące z serca **Halli Nordfjörð**. Skromność, delikatność i nieśmiałość, z jaką zapowiadała kolejne utwory, były potwierdzeniem jej wrażliwości, pokory i prawdziwości.



Dojrzały, głęboki wokal i niezwykle emocjonalne aranżacje piosenek np. *Tip Tap*, przy prostym akompaniamencie gitary sprawiły, że zaznałam mojego ulubionego stanu. Chwilowe wrażenie całkowitej harmonii. W takich momentach wypełnia mnie tak wiele emocji i uczuć, że mam ochotę być lepszym człowiekiem. To było jedno z tych transcendentnych przeżyć, które zdarzają się rzadko. Podobne uczucie miałam podczas podróży na Islandię, kiedy to stojąc nad brzegiem jeziora lodowcowego, patrząc na błękitne bryły lodu, między którymi pływały foki, popłakałam się nad tym pięknem i spokojem widoków. Byłam przepełniona wewnątrz tymi obrazami i wciąż noszę je w sobie, a jakaś ich część odżyła tego wieczora w warszawskiej Stacji Falenica.

Piosenki Halli, zarówno anglojęzyczne, jak i w języku islandzkim, zawierają w sobie prawdę. W miarę słuchania utwierdziłam się w przekonaniu

niu, że mają po prostu duszę, spowitą magiczną aurą. W dobie kryzysu imponderabiliów i tworzących się na fb grup typu „I don't want realism, I want magic” tego typu doświadczenia jawią się jako cudowny przykład bajkowej efemeryczności.

Aby zachować odrobinę wyjątkowego klimatu, kupiłam dwie EP-ki i wzięłam pamiątkowy plakat. Na nim ujrzałam odrobinę drażniącą rekomendację jednej z opiniotwórczych gazet: „Halla wkrótce będzie gwiazdą. Wtedy będziecie mogli się pochwalić, że słyszeście ją wcześniej w którymś z polskich miast”. Dziwi mnie i trochę zniesmacza obecna tendencja do określania młodych artystów mianem „wschodzących/przyszłych gwiazd”. Czemu właściwie służą takie hasła? Dla mnie artystka swą bezpretensjonalnością broni się sama

i tego typu opisy tylko jej szkodzą. Skandynawska songwriterka świeci własnym wyjątkowym blaskiem. Podobnie rzecz ma się z nowopowstającymi zespołami. „Przyszłe gwiazdy sceny muzycznej” – czytam w zaproszeniu na wydarzenie. Czas sam zweryfikuje, kto osiągnie status gwiazdy. Najbardziej ujmuję mnie w twórcach pokora. I choć z reguły to nie oni tworzą swoje opisy w mediach, to jednak godząc się na takie zwroty, odbierają sobie świeżość.

Inna rzecz, że twórcy muszą w jakiś sposób się promować i czasami trudno wymyślić dobry slogan reklamowy, który przyciągnie ludzi na koncert. Halla jest dobrym przykładem na to, jak działa poczta pantoflowa. Na Stacji Falenica zjawilo się wiele osób, które nie widziały plakatu, a mimo to z werwą i entuzjazmem wpadły po odrobinę magii.

Ewelina Leszczyńska

Zgłoś się! *na praktyki*

*Naszym praktykantom proponujemy **rzeczywisty udział** w procesie wydawniczym. Udostępniamy obszerne i interesujące **materiały edukacyjne**. Czas trwania praktyk wynosi dwa miesiące, a całość odbywa się wyłącznie **on-line**.*

*Dla chętnych przygotowaliśmy dwa programy praktyk: **dziennikarskie** oraz **edytorskie**.*

*kontakt: **praktyki@alterpop.pl***

OME rozmowa

hołd dla Tomka Beksińskiego

Projekt OME nie nagrał typowej płyty dla hitów, koncertów, sprzedaży i popularności. Muzycy, którzy wzięli udział w projekcie przede wszystkim chcieli uhonorować nieżyjącego radiowca, tłumacza, lektora – Tomasza Beksińskiego. Z tego powodu warto było porozmawiać z **Rafałem Błażewskim** – wiolonczelistą i klawiszowcem. Chętnie wspominał zmarłego tragicznie przyjaciela...

Co było najważniejszym impulsem i inspiracją do nagrania płyty tOMEk Beksiński?

Rafał Błażewski: Po wydaniu płyty *Mermaids* postanowiliśmy wrócić do archiwalnych piosenek z lat 80-tych, do których teksty napisał Tomek. Chcieliśmy pokazać materiał, który nigdy nie znalazł wydawcy a zarazem złożyć hołd najbardziej wartościowemu dziennikarzowi muzycznemu w Polsce, dziennikarzowi, któremu obcy był lans i układy.

Czyli hołd dla nieżyjącego przyjaciela?

Tak, z całą pewnością.

Jak sądzisz, czy Tomek Beksiński byłby zadowolony z materiału, który nagraliście? Czy puszczałby utwory z tej płyty w swoich audycjach?

Mam nadzieję że tak, w końcu teksty powstały do gotowej muzyki, która musiała się Tomkowi podobać, gdyby było

inaczej, nie byłoby tekstów. W kwestii puszczenia utworów w swoich audycjach, to obawiam się że nie puszczałby ich wcale. Wynika to z niesłychanej skromności Tomka, w przeciwieństwie do znanych obecnie dziennikarzy nie tylko muzycznych.

Sluchając radia, ale oczywiście nie tego komercyjnego, mam wrażenie, że Beksiński wychował wielu dziennikarzy. Wciąż słyszę jego intonację, pewien styl wypowiedzi, pasja wobec muzyki, pewną wrażliwość, itd. Czy też dostrzegasz „obecność” Beksińskiego w dzisiejszych audycjach?

Niestety nie. Na Tomku mogło się wychować wielu, ale jego styl, wiedza i muzykalność jest niepowtarzalna, bardzo tego żałuję.

W materiałach prasowych stoi „piosenki napisane w 83/84 roku, istniały tylko w wersji demo, czekając na odpowiedniego wokalistę”. Na płycie śpiewało wielu gości. Co sprawiło, jak zapadły decyzje, czym kierowany był wybór, że

śpiewają właśnie ci wokaliści (Januszko, Orthodox, Waglewski, Rychlicki)?

Wynika to w dużej mierze z grona przyjaciół, którzy zaangażowali się w projekt, myślę tu o Maćku Januszko. Maciek namówił Wojtkę Waglewskiego, ja Anję Orthodox, a Piotrek Chancewicz, u którego w studio były nagrywane bębny i bas – Łukasza Rychlickiego. Żadna zaproszona osoba nie odmówiła udziału w projekcie OME, a wykonawców było znacznie więcej. Najcięższą pracę wykonał nasz producent Rafał Paczkowski, a największy zachwyt zdobył Robert Fijałkowski, który okazał się Paganinim gitary.

Planujecie trasę promującą tę płytę?

OME jest projektem powołanym do życia jednorazowo. Naszym celem było złożenie hołdu koledze, ale jeśli będzie zainteresowanie słuchaczy i propozycja występu, to jesteśmy w stanie zebrać ekipę i zagrać koncert.

Zdaję sobie sprawę, że to ryzykowna kwestia... Wiemy jak skończył Tomek. Wiemy, jakie procesy mieli Judas Priest, Ozzy Osbourne i Slayer. Czy nie obawiacie się, że młodzi ludzie mogą poczuć się „zainspirowani” do jakiegoś dramatycznego kroku. A następnie



OME

Tomek Beksinski

okaże się, że ostatnio słuchali waszej płyty. Co wtedy? Czy zastanawialiście się nad tym?

Muzyka, do której Tomek napisał teksty, była oceną rzeczywistości, która otaczała mnie w latach 80-tych. Mój sposób myślenia nie wiele się zmienił, jednak żyję do dziś. Jest dla mnie mało prawdopodobne, aby ktoś pod wpływem muzyki popełnił samobójstwo. Przyczyna tragedii Tomka leży gdzie indziej. Ja mam swoją muzykę i najbliższą osobę, Tomkowi pozostało tylko słuchanie muzyki.

Mam swój ulubiony utwór z płyty. Jest nim Latająca trumna – czy ty możesz wskazać utwór, który uważasz za dopieszczony do najmniejszego szczegółu? I taki, który porusza cię najsilniej?

Wszystkie utwory są dopieszczone, ale szczególnie polecam *Elektryczny głos*. Tekst nawiązuje bezpośrednio do obszaru, gdzie Tomek był stałym bywalcem, tekst jest wręcz autobiograficzny. W kwestii muzyki powiem krótko – podoba mi się, w końcu jestem jej autorem. I rzecz najważniejsza – od tego utworu wszystko się zaczęło.

Będzie kontynuacja projektu OME, np. w postaci drugiej płyty?

Tomek napisał dla OMNI więcej tekstów, i możemy je wydać pod szyldem OME, OMNI albo powołać do życia inny projekt. Moim, Marcela i Maćka zamysłem było pokazanie Tomka nie jako tłumacza czy dziennikarza, ale jako nie-słuchanie wrażliwego człowieka, który jest autorem-poetą. Wkrótce przyjdzie czas na ocenę płyty, wtedy zdecydujemy czy jest to projekt jednorazowy.

Rozmawiał: Dawid Brykański

Uwaga!

cover

Kiedy w Wielkiej Brytanii wyszło pismo **Q**, a numer był poświęcony U2 i świętowaniu 20-lecia premiery *Achtung Baby*, do Polski skierowano wyłącznie numery bez płyty.



Różni wykonawcy

Abk-toong Bay-bi

Achtung Baby była dla U2 płytą bardzo ważną i bardzo udaną. Praktycznie – z wielką pomocą przyjaciół: Lanois, Eno, Flood – Bono i koledzy wymyślili U2 na nowo. Mimo że mogliby do końca swoich dni nagrywać kopie *The Joshua Tree*, to zdecydowali się na takie przewartościowanie swojej muzyki, że dla wielu fanów okazało się to niestrawne. W efekcie był to jednak ruch w dobrą stronę, bo U2 odkryli nowi fani, a sam zespół wspiał się na szczyty popularności dostępne tylko naprawdę wielkim zespołom. *Achtung Baby* to płyta, która stała się wzorcem

i podsumowaniem szalonego przełomu lat 90. *Achtung Baby* to płyta, na której każdy utwór mógłby być hitem, a zarazem całość jest tak cholernie spójna, że lepiej spójna być nie może. Na *Achtung Baby* przeważały osobiste przejścia, wątpliwości i różne życiowe historie The Edge’a i Bono. Ten ostatni napisał teksty tak dobre, że pewnie sam nadal w to nie wierzy.

Z *Achtung Baby* związanych jest wiele zabawnych historii. Irlandczycy po raz pierwszy w swojej karierze użyli słowa „baby”, którego do tej pory konsekwentnie unikali. *One* – utwór o bolesnych aspektach miłości jest nader często grany na... ślubach. Bono twierdzi, że ludzie chyba nie do końca rozumieją tę piosenkę. To jest utwór o rozstaniu. Smutna piosenka. Raczej nie na śluby... Chyba że to taka specjalna intencja. Coś się kończy, coś się zaczyna. *Achtung Baby* została uznana wśród 500 najlepszych albumów w historii rocka według Rolling Stone (62. miejsce), w anonimowej ankiecie fani uznali, że *Achtung Baby* to najlepsza płyta do uprawiania miłości. Traś, jaka towarzyszyła promocji płyty

Tarja Turunen

Oddycham muzyką

Tarja Turunen – urodziła się w Finlandii, ale mieszka w Argentynie. Wokalistka obdarzona sopranem lirycznym sięgającym 3 oktaw. Zdobyła wyższe wykształcenie muzyczne, ale najczęściej wykonuje piosenki hardrockowe. Często śpiewa o rzeczach ostatecznych, ale lubi czytać Coelho oraz nurkować. Żyje – i jak twierdzi w zgodzie i wzajemnym poszanowaniu – oraz pracuje z własnym mężem, który jest jej osobistym menedżerem. W rockowym świecie nigdy nie czuła i nie czuje się gorsza, choć kobiety muszą być tu równie twarde jak faceci.

Podczas jakich występów czujesz się pewniejsza siebie – w operze czy na rockowych festiwalach?

Tarja Turunen: Takie koncerty kompletnie się od siebie różnią. Zazwyczaj o wiele bardziej denerwuję się przed występami „klasycznymi” niż rockowymi. Wynika to stąd, że muzyka klasyczna i śpiew liryczny wymaga o wiele więcej uwagi, koncentracji i lepszej techniki wokalne. Podczas koncertów rockowych jestem o wiele bardziej swobodna w tym, co i jak zaśpiewać. Choć to też nie jest łatwe – śpiewać moje własne piosenki bez wyczerpania i zmęczenia gardła w trakcie rockowego występu.

Musiałam znaleźć swój własny sposób śpiewania jeszcze w Nightwish. Nikt mi w tym nie pomagał. Brałam więc lekcje śpiewu lirycznego i jakoś przez te wszystkie lata nauczyłam się łączyć tę technikę z muzyką Nightwish. To nie było takie proste i dlatego za-

brało mi kilka lat, by poczuć się komfortowo i swobodnie podczas koncertów i sesji nagraniowych w studiu. Przez cały ten czas czułam się zaniepokojona, że mogę stracić głos – jedyny dar, jaki posiadam. I wciąż czuję ten niepokój...

No właśnie, zastanawiałaś się kiedyś, co będzie, jak nie będziesz już mogła śpiewać?

O tak, wiele razy o tym myślałam... Jestem pewna, że stanę się bardzo nieszczęśliwą osobą bez tego daru. Śpiew sprawia, że czuję się szczęśliwa, trzyma mnie w dobrej formie i zdrowiu. Może zatem w takiej sytuacji zajęłabym się jakimiś dziećmi i pomagała im przezwyciężyć problemy, a może jednak wyruszyłabym w podróż dookoła świata i znalazła jakieś niebiańsko spokojne schronienie, by zaszyć się w nim i zniknąć...

Głos okazał się dla ciebie najlepszym „narzędziem”, by okazywać swoje emocje?

Tak, odnalazłam najlepszy sposób, by wyrazić siebie. Robię to poprzez mój głos. Muszę wciąż robić postępy jako wokalistka. To dla mnie nieodzowne. Nie mogę zaprzestać praktyki, ponieważ mam wrażenie, że i tak nigdy nie dowiem się wszystkiego o śpiewaniu. To po prostu niemożliwe, by być najlepszym. Zawsze jest coś do ulepszenia.

Cenię sobie również lekcje z moimi studentami, ponieważ i od nich mogę się wiele nauczyć.

Ponieważ wiele podróżuję, zazwyczaj słyszę wiele dramatycznych i poruszających opowieści. Różni ludzie żyją w różnych miejscach, kulturach. Poznają ich, a ich historie stanowią dla mnie prawdziwą, głęboką inspirację.

Co z twoimi tekstami? Bardziej opowiadasz jakieś historie czy też wolisz poezję? Czy zawierają twoje własne refleksje na temat ludzi, świata, relacji?

Na pewno znajdziesz w moich piosenkach to, o czym wspomniałeś... Rzeczywiście piszę bardzo osobiste historie. Lecz staram się to robić w taki sposób, by każdy mógł znaleźć w tych tekstach coś ze swojego życia.

Uwielbiam dramaty. Tematy śmierci, miłości, nienawiści bądź szczęścia to dla mnie główne inspiracje. Ponieważ wiele podróżuję, zazwyczaj słyszę wiele dramatycznych i poruszających opowieści. Różni ludzie żyją w różnych miejscach, kulturach. Poznają ich, a ich historie stanowią dla mnie prawdziwą, głęboką inspirację.

Co więc dla ciebie jest ważniejsze – słowa czy muzyka?

Muzyka, muzyka jest dla mnie o wiele ważniejsza. Ale faktem jest, że najlepsze historie to takie, gdzie muzyka idzie z opowiadaną historią ramię w ramię... Płyta *What Lies Beneath* jest o wiele dojrzałsza, bardziej osobista i bezpośrednia. Płyta *My Winter Storm* jest o wiele delikatniejsza, ponieważ to

były moje pierwsze próby jako kompozytorki. To nie było dla mnie łatwe, ale potrzebowałam przejść całą tę drogę, by wreszcie poczuć się naprawdę wolna we własnej muzyce. Dziś moje odczucia, kiedy piszę i komponuję, są zupełnie inne. Nie czuję już strachu. Jestem bardzo dumna z obu moich płyt. One doskonale reprezentują mnie jako artystkę i jako osobę.

Świat muzyki rockowej to świat face-tów. Co ty o tym sądzisz? Czy jest trudniej dziewczynie w tej branży? Czy masz wrażenie, że musiałaś ciężiej niż mężczyźni pracować na swój sukces?

Nigdy nie miałam z tym problemów. W mojej pracy nie spotkałam się z żadnymi specjalnymi korzyściami lub niedogodnościami tylko dlatego, że jestem kobietą. Oczywiście, dziewczyna na „metalowej” scenie musi być silna i doskonale widzieć, czego chce. Ale

podejrzewam, że tak mają wszyscy. Faceci więc też.

Czy uroda pomaga, pomogła ci w karierze? Może w kontaktach z prasą i innymi mediami? Na przykład Bjork celowo się oszpecała, by nie wykorzystywać swej urody... A może fani przysyłają ci listy miłosne?

Naprawdę nie potrafię ocenić, na ile mój wygląd pomógł mi w karierze. Dziennikarze zawsze chętnie mnie fotografują i nie narzekam na brak propozycji udzielenia wywiadu. Ale serio nie wiem, czy to za sprawę urody czy nie. Raczej sądzę, że jeśli śpiewałabym bardzo źle, fałszowałabym, nie starała się, nikt by się mną nie interesował.

Trasa koncertowa rozpoczęła się w 2010 r. Co robisz, żeby nie odczuwać



Zdjęcie: *Eugenio Mazzinghi*

zmęczenia? Prawie co wieczór w innym mieście... Jak dbasz o siebie i swój głos?

Śpiew liryczny sprawia, że trzymam się dobrze. Ale muszę i swoje ciało utrzymać w formie. Biegam, pływam i zawsze, kiedy czuję się zbyt zmęczona na inną aktywność, wykonuję mój program aerobiku. Są takie chwile, że ciało staje się tak zmęczone, że nie możesz już nic z tym zrobić... Wtedy trzeba poszukać spokojnego miejsca, by odpocząć. Nie odpuszczam też prób śpiewu, klasyczne techniki pomagają mi dobrze się trzymać podczas tej długiej, wyczerpującej trasy. Wiem, co mogę jeść, a czego w żadnym wypadku, ile potrzebuję snu itd. Zdrowy tryb życia pomaga utrzymywać się wciąż w dobrej kondycji.

Trasa zaczęła się w Polsce i na jej zakończenie również do nas powróciłaś... Dlaczego? Co specjalnego znalazłaś w Polsce? Czy jesteś u nas rozpoznawana na ulicy? Miałaś czas, by coś zobaczyć, zwiedzić?

Lubię polską kuchnię, ale przede wszystkim lubię ludzi, kocham moich polskich fanów. Od lat dają mi wsparcie, ekstremalne wsparcie. Mam tu oficjalny fanklub - Winter Storm, jego członkowie co dzień ciężko pracują, by mi pomóc.

Żałuję, ale tylko raz miałam czas zrobić zdjęcia i pospacerować po Warszawie. Niestety, ale terminarz koncertowy jest zazwyczaj tak wypełniony, że nie mogę pozwolić sobie na to wszystko, co ma do dyspozycji normalny turysta.

Kocham moich fanów, a relacje między nami są bardzo silne, na całym świecie. Oni dają mi energię, która

sprawia, że mam i siłę, i wolę, by robić to, co robię.

A jak się pracuje z własnymi braćmi? Czy oni również są profesjonalnymi muzykami?

Jestem pierwszą osobą w naszej rodzinie, która zdecydowała się na profesjonalną karierę w tej branży. Obaj moi bracia mają talent, ale muzyką zajmują się w czasie wolnym od innych zajęć. Obaj również mają zupełnie inne zespoły i realizują swoje projekty. Jestem z nich dumna.

Jesteś fanką książek Paula Coelho. Co szczególnie cię zaintrygowało w jego powieściach?

Bardzo cenię sobie sposób, w jaki pisze o marzeniach. Oraz o tym, jak ważne jest, by nie poddawać się w walce o swoje marzenia i cele. Czytam właśnie w trasie podczas podróży z miasta do miasta, bo zazwyczaj jest to trochę kilometrów. Co czytam? Lubię kryminały i w ogóle powieści.

Gdzie jest najlepsze miejsce do nurkowania?

Myślę, że wciąż mnie tam nie było... Ale bardzo chciałabym ponurkować pewnego dnia na Malediwach, Filipinach i Wyspach Galapagos.

Wyprowadziłaś się z Finlandii do Argentyny, gdzie mieszkasz z mężem. Jednocześnie Marcelo Cabuli, twój mąż, jest twoim menedżerem. Czy nie jest ciężko żyć i pracować razem? Czy praca nie przekłada się na wasze wzajemne relacje?

Nie kryję, że jesteśmy bardzo szczęśliwi z powodu tego, jak żyjemy. Przede



Zdjęcie: Magdalena Zaleska

wszystkim zawsze jesteśmy razem. I w pracy, i w miłości, oddaniu. Mam wrażenie, a może pewność, że czas jest po naszej stronie. Nasz związek wciąż się doskonalili i ulepsza. To tak jak z winem, które wiadomo co, kiedy się starzeje (śmiech). Obydwoje jesteśmy zarażeni muzyką. Mój mąż jest dla mnie zawsze ogromnym wsparciem, kiedy potrzebuję kogoś, kto naprawdę rozumie moje problemy. Na przykład czasem takim problemem staje się śpiewanie.

Jaka jest twoja własna, krótka definicja muzyki, jak byś zdefiniowała, najkrócej jak potrafisz to, co robisz?

Oddycham muzyką.

Rozmawiał: Dawid Brykański

Anielskie sprawy

Kliknij i zamów on-line

Mawia się, że o poziomie cywilizacji świadczy to, jak w danym państwie dba się o najsłabszych, pokrzywdzonych przez los. Jeśli w Internecie ktoś zamieści filmik o tym, że ktoś dręczy kota, psa lub konia, natychmiast zapada na niegodziwca niemal wyrok śmierci. Jednak na krzywdę chorych dzieci aż tak gwałtowne reakcje się nie zdarzają.

Kilka razy byłem na koncertach najbardziej prawdziwego zespołu metalowego, czyli Manowar. Grupa ta o przerysowanym wizerunku gra muzykę, która nie dość, że jest najgłośniejsza (oficjalny zapis w *Księdze rekordów Guinnessa*), to gromadzi pod sceną tysiące prawdziwych twardzieli – wojowników, gotowych pójść za swymi idolami na krucjatę bądź w ogień. Jest tak dlatego, że Manowar zawsze kieruje się prostą

regułą – robimy wszystko dla naszych fanów. A dla fanów np. niepełnosprawnych – robimy jeszcze więcej.

Specjalne sektory dla osób na wózkach inwalidzkich, odrębne wejście, dedykowana ochrona, ochrona przeznaczona dla grup zorganizowanych – np. dzieci. Bo i dzieci zdarza się, że są zapraszane na te koncerty. Jak jest na koncertach u nas – wszyscy wiemy. Człowiek na wózku inwalidzkim lepiej „żeby się nie pętał”. Na szczęście jest w kraju kilka organizacji i osób, które próbują coś zmieniać. Chociażby Owsiak ze swoją Orkiestrą – najbardziej spektakularny przykład tego, że jak się chce, to można.

Trafiają do mnie różne płyty. Pop, jazz, metal, rock, muzyka poważna, ale naprawdę byłem zaskoczony, kiedy otworzyłem kopertę, a tam płyta *Anielskie sprawy*. Zaczynam słuchać – jakaś bajka... Zaczynam czytać o co chodzi.... I myślę – o świetne! Nie wszyscy tylko gonią za kasą, nie wszyscy



Różni wykonawcy
Anielskie sprawy

chcą chronić koty i psy (żeby było jasne – za dręczenie zwierząt należy się jak najsurowsza kara, ale nie powinno to przybierać rozmiarów pospolitego ruszenia). Okazuje się, że w szpitalu wylądował sześciolatek Tomek, zatruty się muchomorem. Takich dzieci jest więcej. I stąd ta akcja, i stąd ta płyta. Żeby dzieci jakoś pocieszyć – przebywanie w szpitalu to nic miłego nawet dla osoby dorosłej – lekarze z Centrum Zdrowia Dziecka oraz Teatr Polskiego Radia nagrali bajkę, którą... nadesłali słuchacze. Odbył się konkurs pod okiem pedagogów, wybrano opowieść o Muszelce. A następnie Maciej Jachowski przystąpił do artystycznej realizacji.

Głosu Aniołom użyczyli nie tylko aktorzy, nie tylko lekarze, ale również prezes Polskiego Radia. Chyba wszyscy nieźle się bawili w studio, bo słuchowisko budzi pozytywne emocje, na-

wet jeśli akurat nie jest się w szpitalu. A sama historia jest oczywiście barwna i ciepła – sądzę, że bardzo uprzyjemnia czas małym pacjentom.

Czas, w jakim żyjemy, zmuszają nas do gonitwy. Jakże często bezmyślnej i bezrefleksyjnej. Podczas tej ganiatyki natrafiałem na płytę *Anielskie sprawy*, co obudziło we mnie takie a nie inne refleksje. Wiem, że ciąg skojarzeń: Internet, Manowar, dzieci, szpital, zwierzęta, heavy metal, zachowanie społeczne może być z pozoru karkołomny. Ale im dłużej o tym myślę, tym większego przekonania nabieram – dbajmy o dzieci, skupmy się na nich. One nie są niczemu winne. Tomek zjadł muchomora z powodu braku wiedzy, a nie w celach eksperymentalnych.

Dawid Brykalski

Czytasz za darmo?

Wyślij SMS-a

Nie mamy nic przeciwko darmowemu przesyłaniu znajomym numerów naszego pisma!

Jeśli jednak posiadasz ten numer z takiego źródła, a uważasz, że jest on wart swojej ceny - zapłać ją!

To tylko 1.23 zł, a pozwala nam kontynuować i rozwijać naszą działalność.

Wyślij **HPAY.ALTERPOP** na numer **7155** [1.23 zł]

PREMIERY *filmowe*

reż. Martin Scorsese

Hugo i jego wynalazek

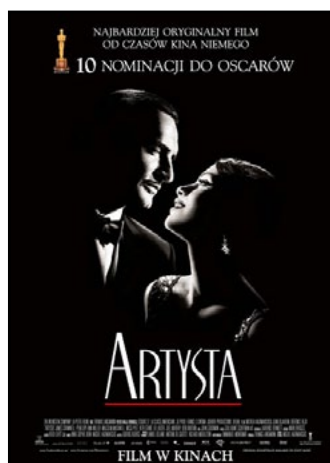


Twórca kina typowo męskiego bierze na warsztat książkę dla młodzieży napisaną przez Briana Selznicka, Wynałazek Hugona Cabreta. Opowieść Selznicka, łącząc w sobie elementy noweli graficznej i fascynacji kinem, tworzy zupełnie nową jakość narracyjną. Na tej bazie Scorsese kreuje swoją wersję tej historii, ponieważ jego intencją jest stworzenie nie tylko filmu pod każdym względem ciekawego dla młodzieży, ale oddającego hołd całej kinematografii.

Głównym bohaterem filmu jest tytułowy Hugo, ale dużo ważniejszym wydaje się George Méliès i jego magiczne triki filmowe, które porusza Scorsese próbując oddać atmosferę początków tworzenia się kina. Reżyser zabiera widza w prawdziwie pasjonującą podróż do przeszłości, wykorzystując przy tym najnowsze zdobycze techniczne, na nowo odślania zapomnianą magię kina. Trochę w tym nostalgicznego odkurzania staroci, ale pchli targ też ma swój niezaprzeczalny urok.

reż. Michel Hazanavicius

Artysta



Czarno-biały, niemy film, nawiązujący do najszlachetniejszych lat kina – lat 20. i 30. – nakręcony w XXI wieku przez francuskiego reżysera. Dla widza przyzwyczajonego do głosów, ścieżki dźwiękowej oraz hałasu przyprawiającego momentami o palpitację serca, Artysta może wydać się kuriozum nie do przyjęcia.

Ale cisza na sali, kiedy niemal słychać oddech sąsiada z góry i z boku,

sprawia niesamowite wrażenie kinowe. Może dlatego seanse, choć nie były szturmowane przez hordy spragnionych dziesiątej muzy kinomanów, to jednak sale nie cierpiały na zbyt dużo wolnych miejsc. W dodatku świetnie obsadzone główne role, Jeana Dujardina i Bérénice Bejo, a także przesympatycznego pieska, Uggy'ego, ratującego swojego pana z niejednej opresji, sprawiają że film, mimo braku głosu, ogląda się tak dobrze.

Skala ocen:

God must have been a fuckin' genius

*I just met a wonderful new man
He's fictional but you can't
have everything*

*My mum always said,
life is like a box o' chocolates*

I love you, honey bunny!

May the Force be with you

To weird, to live, and to rare to die

Coco Jumbo i do przodu

Huston, we ve got a problem

**

Ja tu widzę niezły burdel

*

Albercik! Wychodzimy!

reż. Małgorzata Szumowska

Sponsoring



Międzynarodowa kooperacja z udziałem Juliette Binoche, która wciela się w rolę paryskiej dziennikarki Anny, piszącej artykuł o prostytutkach. A chyba bardziej o młodych dziewczynach utrzymujących się na wysokim poziomie życia dzięki znajdowaniu sobie sponsora. Za co sprzedają swoje ciało.

Temat ten u Szumowskiej nabiera zupełnie nowego wymiaru – pod pozostawieniem

rem dramatu społecznego o kobietach lekkich obyczajów, reżyserka próbuje odmalować delikatnymi ujęciami kamery osobiste sytuacje różnych kobiet. Skupia się na ich intymności, samotności wobec męskiej dominacji w świecie. Ciekawie zarysowuje się sytuacja, jaka powstaje w relacji dziennikarka – sponsorowane dziewczyny. Anna coraz bardziej fascynuje się dziewczynami, Alicją i Charlotte. Do tej pory jej życie rodzinne wydawało się idyllą, natomiast w trakcie poznawania życia sponsorowanych odkrywa ciemne strony swojego małżeństwa.

Szumowska porusza wiele ważnych pytań dotyczących kondycji dzisiejszego społeczeństwa oraz niemożności porozumienia się w nawet najbardziej podstawowej komórce społecznej – w rodzinie. I nie daje jednoznacznej odpowiedzi. Widz sam musi ją odnaleźć.

reż. Roman Polański

Rzeź



Polański sięgnął po jednoaktówkę Yasminy Rezy Bóg mordu, wielokrotnie wystawianą na deskach teatrów Nowego Jorku, Londynu czy Warszawy. Stąd też mieszane odczucia wśród widzów, bo temat jakoś tam medialnie znany, ale jednak co Polański, to Polański.

Mimo że to adaptacja filmowa, to jednak reżyser czerpie z najbardziej dla siebie znanych motywów: kameralnych, zamkniętych przestrzeni, zderzenia osobowości i ludzkich słabostek. Już od pierwszego swojego filmu, *Noża w wodzie*, poprzez *Wstręt* i *Lokatora*, rozpisuje na obrazy ten sam temat. Gra pozorów, iluzoryczność modeli społecznych, które mogą rozlecieć jak domek z kart pod wpływem skrywanych pod uprzejmością frustracji i agresji.

Śpiętrzenie odmiennych charakterów i kompleksów na małej powierzchni świetnie zostało oddane dzięki umiejętnościom operatorskim Pawła Edelmana oraz w grze Kate Winslet, Judie Foster, Christopha Waltza i Johna C. Reilly'a. Fabuła płynnie przechodzi od dramatu obyczajowego do czarnej komedii, nigdzie po drodze nie gubiąc elementu gorzkiej satyry na współczesne normy obyczajowe.

reż. Aki Kaurismäki

Człowiek z Hawru



Optymistyczny film w przewrotnym wydaniu fińskiego reżysera, odpowiedzialnego za stworzenie kultowego już obrazu *Leningrad Cowboys jadą do Ameryki*. Styl Kaurismäkiego kojarzy się z filmami Jima Jarmusha, w niewymuszonej prostocie bohaterów czy nieco

sennym nastroju, przywodzącym na myśl dawne analogowe kino.

Kaurismäki w swoim nowym filmie nie serwuje łatwych recept znanych z wielu hollywoodzkich produkcji. Siłą jego filmu jest ukazanie w człowieku imperatywu dobra, który można znaleźć nawet w niesprzyjających okolicznościach życia. Odwołując się do europejskich klasyków kina, takich jak Robert Bresson, Kaurismäki sprzęga w swoim obrazie minimalizm i oszczędną grę aktorską z nieco sentymentalnym klimatem.

Dzięki wszystkim tym zabiegom całość nabiera odrealnionego, magicznego wydźwięku. Co nie przeszkadza twórcy konstruować prawdziwie humanistycznego przesłania, które przez konsekwencję w budowie materii filmowej uzyskuje tak głęboki wymiar. Opowieść filmowa Kaurismäkiego w końcowym efekcie przypomina baśń, o wielu poziomach interpretacyjnych, które widz z satysfakcją będzie odszyfrowywał.



reż. David Fincher

Dziewczyna z tatuażem,



Film o gwałcie i zemście. Bardzo feministyczny w końcowym ujęciu. Mimo wszystko bowiem to kobieta wymierza sprawiedliwość w świecie pełnym męskiej dominacji. Ekscentryczna postać Lisbeth Salander, granej przez Rooney Mara przesłania figurę wymęczonego dziennikarza Blomkvista, granego przez niewyglądzonego photoshopem Daniela Craiga.

David Fincher w mistrzowski sposób łączy w swoich filmach mroczne zakamarki ludzkiej duszy ze sprawnie poprowadzonymi wątkami fabularnymi. Rozdrapując kruchą powierzchnię społecznej ułudy, odkrywa bolesną prawdę, nie dając jednak jasnych odpowiedzi, co jest moralne, a co nie. Ta niejednoznaczność jest dużym plusem obrazów Finchera, a w *Dziewczynie...* nabiera dodatkowego wydźwięku, prowokując i skłaniając do refleksji.

reż. George Clooney

Idy marcowe



Aktor i reżyser George Clooney działa także na arenie politycznej. Zajmują go problemy współczesnego świata i potrafi o nich opowiadać w swoich filmach.

Najnowszy z nich ukazuje styk polityki i mediów, które przemieniają kampanię wyborczą w spektakl pozorów, kompletnie usuwając z niej prawdziwe idee polityczne. Odsłania natomiast zakulisowe gry, narastanie sieci kłamstw i szantażu, które w ostatecznym rozrachunku decydują o wygranych i przegranych.

Świat przedstawiony przez Clooney'a ma jednoznaczny wydźwięk, brak w nim miejsca dla idealistów i wiarę w czyste zamiary któregośkolwiek z kandydatów. Polityka w *Idach marcowych* okazuje się bezduszną machiną, odbierającą ludziom ich normalne odruchy, stawiającą na zimne kalkulacje i produkowanie odpowiedniego towaru, jakim staje się polityk.

reż. Wojciech Smarzowski

Róża



Kino Wojtki Smarzowskiego stało się już marką samą w sobie, stanowiąc wyróżnik na tle polskiej produkcji filmowej. Jego dotychczasowe obrazy *Wesele* i *Dom zły* na trwałe weszły już do kanonu najlepszych.

Tadeusz i Róża, naznaczeni wojennymi wydarzeniami, w których stracili bliskie osoby, a także własne ideały, spotykają się na ziemi niczyjej. Ziemi, należącej niegdyś do Mazurów, w między czasie najechanej przez hordy wygłodniałych żołnierzy armii rosyjskiej, a po wojnie przejmowanej przez Polaków. Róża jest jedną z kobiet, które doświadczyły wszystkich okropieństw wojny. Tadeusz jest powstańcem, który szuka dla siebie miejsca, aby rozpocząć nowe życie. Próbuje dokonać tego razem z Różą. Okaleczeni, mimo wszystko podejmują wysiłek zbudowania czegoś wartościowego.

Opracowała: Karolina Joisan

OMIJAĆ *Z daleka*

Po wyjściu z kina pozostaje tylko uczucie irytacji. Zapanował powszechny zachwyt nad tym dziełem ze strony środowiska artystycznego Warszawy i Wrocławia – film otrzymał główną nagrodę w kategorii Nowe Kino Polskie na festiwalu **Era Nowe Horyzonty**. Był to werdykt kompletnie nieuzasadniony.

Czytam wywiady z twórcami, słucham opinii w telewizji i radiu i nie rozumiem tego optymistycznego przyjęcia. Gdyby nie fakt, że *Z daleka widok jest piękny* wyreżyserował wspólnie z małżonką bardzo znany i lubiany malarz z Tarnowa, nikt by o nim nie pisał. Sami Państwo Sasnal twierdzą, że film zrobili dla siebie. Twórczość dla elity intelektualnej pragnie jednak na sobie zarobić pokazywaniem w kinach – bardziej czy mniej studyjnych.

Opowieść o złu uniwersalnym opiera się na historii mieszkańców pewnej polskiej wsi, gdzieś na drodze łączącej Tarnów z Krakowem. Miałam nadzieję, że w filmie nakręconym przez malarza chociaż kompozycja kadrów i sama ich plastyka okaże się interesująca albo po prostu ładna. Estetyka filmu polega na tym, aby zrobić tak, żeby było brzydko. No i brzydko w istocie jest, a biedni ludzie są źli.

Główny bohater pracuje na złomowisku. Chłopak mieszka z chorą psychicznie matką, nie radzi sobie i finansowo, i psychicznie w tej sy-



reż. Anna i Wilhelm Sasnal
Z daleka widok jest piękny

tuacji. Jego dziewczyna pomieszkuje w smutnym domu, w równie smutnej rodzinie. Kiedy chłopak wywozi matkę do domu starców i długo nie wraca, mieszkańcy wsi rozkradają jego dobytek i bezczeszczą to, co po nim zostaje. Wybijają okna, wyrrywają framugi, rozwalają szafę, a potem palą to wszystko w rytualnym obrzędzie oprawców.

Reżyserzy świadomie odchodzą od narracji oraz pozbawiają bohaterów rysów psychologicznych. Postać głównego bohatera zbudowana jest na geście drapania się po plecach – tyle się o niej dowiadujemy, oprócz tego że żyje w podłych warunkach.

Do mnie – mieszkającej w dużym mieście – woła się z ekranu: zobacz, jak wygląda polska wieś, zobacz! Tak właśnie jest, tak źli są ludzie, a wieś zdegradowana do cna! To miejsce bez perspektyw, pełne chciwości i znieczulicy!

A mnie to nie obchodzi. Znam inną wieś. Biedną, ale optymistyczną, żyjącą w zgodzie z naturą i pielęgnującą codzienne rytuały i tradycje. Może nie krainę płynącą miodem i mlekiem, ale na pewno nie brodzącą we krwi i brudzie. Polemika z dotychczasowym obrazowaniem wsi – jak twierdzą Sasnalowie – według mnie się nie powiodła. Bo przecież wieś ukazywana jest w filmach na wiele sposobów, także negatywnie, jednak nie tak jednostronnie. Więcej tego zła dostrzegam w zgiełku miasta, gdzie kierowca autobusu zamyka drzwi przed staruszką na przystanku, gdzie za wepchanie się do kolejki na dworcu jeden drugiemu gotów jest wydrapać oczy.

Nic nowego o tym, jak rodzi się zło, z filmu się nie dowiedziałam. Przede wszystkim dlatego, że pozbawiono mnie możliwości zrozumienia i poznania bohaterów. Cierpliwie czekałam na ciekawe kadry. Były pola kapusty, które wywołały we mnie chęć na schabowego z zasmażaną.

Podobno film traktuje o holokauście. Wilhelm Sasnal opowiadał na pokazie premierowym o inspiracji książkami Grossa i dokumentem *Shoah* w reżyserii Claude'a Lanzmanna.

Nie znając twórczości malarskiej Sasnala, niezwykle trudno dostrzec jakiegokolwiek znamiona tematyki stosunków polsko-żydowskich. Ludzie szeroko zaznajomieni z kulturą, często odwiedzający kino, a przy okazji zorientowani w świecie sztuki nowoczesnej, komunikują się ze sobą za pomocą pewnego kodu. Kod ten zbudowany jest ze stałych elementów dzięki czemu dla kompetentnego odbiorcy przekaz nadawcy jest zrozumiały. W tym wypadku komunikat natrafia na taki szum komunikacyjny, że sens ginie po drodze. Film jest nieczytelny. Tematyka żydowska niezauważalna. Zło, które obrazuje film – począwszy od traktowania matki jak ciężkiego balastu, którego trzeba się pozbyć, po dewastowanie domu nieobecnego Pawła – osadzone w konkretnych realiach ukazanej wsi, także traci na uniwersalności. Estetyka dogmy, surowości, nieostre kadry nie stanowią nowum w sposobie obrazowania.

Mimo że film wzorowany jest na formie dokumentu i zapożycza wiele z jej elementów, wyjątkowo drażniące jest to, że kompletnie nie można zrozumieć, co mówią aktorzy. Mamroczą coś pod nosem – tak jak w życiu. No diabli mnie biorą, jak widzę i (nie) słyszę coś takiego.

Tytuł można by sparafrazować na „Z bliska widok wcale nie jest piękny”.

Ewelina Leszczyńska

Poczciwa non-camera

Większość przedstawicieli mojego pokolenia niewiele wie o Antoniszu. Być może, niektórzy natknęli się na jeden z filmików na youtube: *Jak działa jamniczek*, *Film o sztuce biurowej* czy *W szponach seksu*. Moją przygodę z **Antoniszczakiem** rozpoczęła projekcja filmu *Ostry film zaangażowany*. Oczarowana, sama zaangażowałam się w poszukiwania pozostałych dzieł autora.

Pochodzący z Nowgo Sącza, urodzony w 1941 roku Julian Antoniszczak był twórcą totalnym. Sam pisał scenariusze, rysował, wyklejał, wycinał, wrywał, wylewał, a nawet wypalał poszczególne ich klatki. Przy użyciu aparatu do grawero-

wania śladu dźwiękowego optycznego w nośniku magnetycznym komponował do nich muzykę. Poddawanie taśmy filmowej działaniu rozmaitych chemikaliów nadawały dziełom ekspresji, wyrazu i oryginalnego stylu – jakby nie-





dbałych, niedokończonych, surowych dzieł plastycznych z nutką dadaistyczną.

„Słabości filmu animowanego wynikają z przewagi technologii nad sztuką. Realizator, który na ogół jest plastykiem, sam albo przy pomocy całego sztabu ludzi rysuje film na papierze lub celuloidach, tworząc nierzadko dzieło oryginalne. A potem robi się pomniejszoną i gorszą pod względem walorów plastycznych kopię. Oryginalne kompozycje plastyczne, to co w sztuce najważniejsze, idą do śmieci. Trochę tak, jakby Picasso po namalowaniu *Guerniki* sfotografował ją, kolorowe zdjęcia umieścił w muzeum, a oryginalny obraz wyrzucił na śmietnik” – twierdził twórca.

W 1977 roku stworzył manifest malowania filmów bezpośrednio na taśmie filmowej, według którego realizował swoje filmy.

Jednocześnie fascynowały go urządzenia techniczne, dzięki którym uzyskiwał niesamowite efekty w swych obrazach non-camerowych. Takie wynalazki jak: antoniszograf fazujący, kamera filmo-skaningowo-fotoelektryczna, animograf-sonograf – umożliwiały mu autorskie konstruowanie „wybebeszonych” filmideł. Maszyna o nazwie chropofotograf, pozwalająca na wykonywanie wklęsło-

-wypukłych obrazów dla niewidomych, świadczy też o niezwyklej pomysłowości konstruktora.

Do pierwszych dzieł plastyka należą także tradycyjne filmy aktorskie, jednak były one również ręcznie podmalowywane. Antonisz od samego początku wypalał też usta swoim bohaterom i dla urozmaicenia formy wstawiał fragmenty non-camerowe między ujęciami. Debiutancki film *Fobia* z 1967 roku przyniósł mu nagrodę Lajkonika. Bohater Fobian Ewaryst-Dobdziak, niespełniony artysta postanowił iść pod prąd istniejącym w sztuce nurtom i stworzyć własny, niepowtarzalny styl. W tym celu wyrusza w poszukiwaniu natchnienia. Postać Ewarysta przypomina samego Antonisza. On także wytworzył styl niepowtarzalny, a inspirowało go wszystko to, co widział. Posiadał do tego niesamowitą wyobraźnię. Z dokumentu *Jak Antoniszczak robił świat*, poświęconemu osobie ekscentrycznego reżysera, dowiadujemy się, że aby zająć czymś swoją córkę, zorganizował jej zabawę w łowienie ryb. Papierowe rybki uzbroidł w gwoźdźki, a prowizoryczną wędkę zakończył magnesem. Skonstruował także samochód osadzony na połączonych dwóch rowerach, który przez długi czas dopracowywał w mieszkaniu, a po ukończeniu dzieła okazało się, że nie mieści się w drzwiach...

Zaangażowanie społeczne uwiadacznia *Ostry film zaangażowany*, czy kierowany zarówno do dorosłych, jak i do dzieci *Jak działa jamniczka*, z którego dowiadujemy się, że „ostatecznie wszystko co żyje posiada jakąś kischkę”. „Nie niszczy jamniczka, nie niszczy niczego, co żyje” ku przestrodze mocno wybrzmiewa pod koniec filmu.

Od 1980 roku w warsztacie chałupniczo-rzemieślniczym artysty po-



wstawały oparte na „pomyśle paranoicznym” *Polskie kroniki non-camerowe*. Mimo że wszystkie filmy Antoniszczaka miały podobną formę, to ogląda się je z niesłabnącą przyjemnością. Jako jeden z niewielu reżyserów w ogóle – nie tylko twórców animacji – realizował postulat dzieła na wskroś autorskiego i w pełni realizowanego przez samego twórcę. Podkładane przez niezawodowych lektorów pisane przez niego teksty oparte są na koncepcji absurdu i groteski. Do dziś dzieła Antonisza uj-

mują swą oryginalną formą i surrealistycznym humorem.

W dobie zaawansowanej grafiki, tworzonej w technice komputerowej, kiedy to za pośrednictwem skomplikowanej maszyny można uzyskać zaskakujące trójwymiarowe efekty wizualne, surowe, pocziwe opracowania plastyczne Antonisza stają się swojską odskocznią. „Pulsująca kraina non camery to jedyne antidotum na istniejącą obok paranoiczną rzeczywistość”.

Ewelina Leszczyńska

PREMIERY

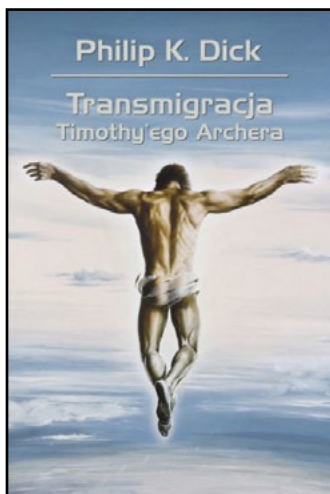
książkowe

Philip K. Dick

Transmigracja

Timothy'ego Archera

★★★★★★★★



Następna powieść P.K. Dicka w ekskluzywnej serii. Już za samą okładkę proboszcz z pobliskiej parafii powinien rzucić na wydawcę anatemę. Czyniąc mu w ten sposób przysługę, w postaci reklamy gratis.

Poniekąd jest to literatura sf. Bardzo poniekąd. Bo to znów rozważania pisarza na temat Boga, Jego istoty, natury, relacji z człowiekiem, wiary i wszystkich tych innych poważnych rzeczach, o których wolimy nie myśleć

na co dzień. Zarazem *Transmigracja...* to ostatnia książka, jaka ukazała się za życia pisarza. Oczywiście, że dikołodzy tudzież dikołodki doszukują się w niej wątków osobistych. A tych zawsze w prozie Dicka było wiele, lecz i były zręczniejsz bądź mniej zamaskowane.

Wybitna i wartościowa książka. Pod każdym względem.

Julian Baggini

Żuk w pudełku oraz 99 innych eksperymentów myślowych

★★★★★★★★



Eksperymenty Baggini to myślowe ćwiczenia, które powinny z łatwością

nas wyrwać z codziennej rutyny. Każde ćwiczenie poprzedzone jest krótką przypowieścią. Może nie biblijną, ale na pewno metaforyczną. Test praktyczny zawiera wskazówki, które zrozumie każdy, a efekt... Czytelnik poczuje na sobie, jeśli spróbuje. Autor w prosty sposób tłumaczy również pewne założeń filozoficzne. Znow więc – nauka, która bawi i zabawa, która uczy. Mnie bardzo rozbawił eksperyment pt. *Chiński pokój* oraz *Zombie*. To ostatnie traktuje o ludziach podobnych do nas

fizycznie, lecz pustych wewnątrz. Z pewnych też względów serdecznie mnie ubawiło zadanie *Nietoperzem być*, ale to dlatego, że w swoim czasie miałem do czynienia z człowiekiem, który twierdził, że jest odwróconym nietoperzem.

Koniec pisania. Zamierzam przeprowadzić na sobie *Zwyczajny heroizm*, *Cyberbłyskotliwość* lub *Szalupę*. Stanę się innym człowiekiem.

Daniel Silva

Sprawa Rembrandta

Skala ocen:

Sto lat samotności

Miasto Grzechu

Cień wiatru

Gra w klasy

Czas jest najprostszą rzeczą

Moja walka...

Kronika sportowa

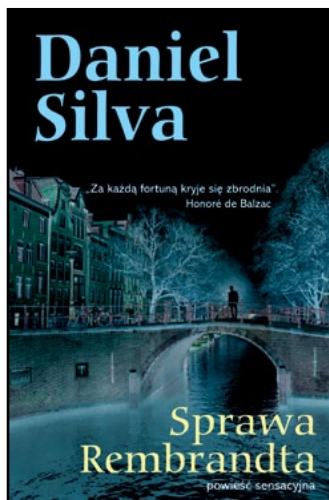
Paulo Coelho

**

Żegnaj laleczko

*

Czas pogardy



Silva to autor kryminałów i powieści sensacyjnych. Od dawna uważam, że w stylistyce tej nic ciekawego się nie dzieje i nie wydarzy, lecz po Silvę zawsze sięgnąć warto. To solidna rozrywka, nie uwłaczająca inteligencji czytelnika.

W *Sprawie...* agent Gabriel Allon musi zmierzyć się ze złodziejem cennego obrazu, mordercą i innymi łajdakami. Akcja mknie jak TGV, trup

pada umiarkowanie gęsto, a zakulisowe ciemne sprawki budzą grozę i niesmak. Życie wcale nie jest takie piękne, świat jest pełen niegodziwców! Niestety, nic więcej zdradzić nie mogę, gdyż byłoby to opowiadanie książki, która ma za zadanie zaskakiwać. I w dodatku jej się to udaje.

To nie dokument historyczny. To nie traktat filozoficzny! To porządna literatura rozrywkowa. I w dodatku film niebawem będzie. Też obejrzę.

Shirley MacLaine

Mam to za sobą i inne wyznania

★★★★



Coraz bardziej podobają mi się książki pisane przez aktorów, polityków i różnych innych celebrytów. Tym razem trafiłem na kolejną perłę. Ta pani dostała Oscara, zagrała w milionie filmów oraz wierzy w reinkarnację.

Jak na kogoś, kto tyle w życiu zrobił, to książka wyszła chuda. Ledwie 195 stron. To może jakoś choć powalająca. Oczywiście! MacLane opowiada

o sobie i swoim życiu jak... nastolatka. Dosłownie. Zebrane w książce „eseje”(?) to jej przemyślenia, refleksje, wrażenia, poważne życiowe decyzje itd. Trąci to wszystko banałem, próżnością i sam nie wiem czym, ale na pewno nie niczym mądrym.

Sam siebie zadziwiam, ale przeczytałem. Pod koniec lektury doszedłem do wniosku: „wystarczy mieć pstro w głowie, kawał zgrabnego tyłka, kilka znajomości i Oscar gotowy!” Chyba sobie zrobię operację tego i owego. Raczej nie mózgu.

Francesca Gould

Dlaczego ziewanie jest zaraźliwe?

★★★★★★



Czy to prawda, że w kupie i na szczotce do zębów można znaleźć te same bakterie? Odpowiedzi na takie oto nietuzinkowe pytania znajdziecie w tej kolejnej zabawnej książce.

Formuła tomiku jest prosta niczym scenariusz kolejnego odcinka *M jak Miłość*. Pada nietypowe pytanie a autorka – specjalistka od medycyny – odpowiada na nie w sposób prosty i klarowny. Pytanie jednak musi być zaskakujące, jak to, które przytoczyłem we wstępie, lub inne: Kto zjadł serce Ludwika XIV? Oprócz pytań i odpowiedzi nieco szokujących jest też kilka całkiem przydatnych porad. Na przykład wiedza jak leczyć kac, a to się w powszechnie raczącym „pywkiem” polskim narodzie zawsze przyda.

Książka traktuje ludzkie ciało trochę jak Dr. House swoich pacjentów. Wyłącznie jako obiekt badań, eksperymentów i dociekań. I bardzo dobrze. Taki poligon doda tylko zdrowia – mózgowi i innym mięśniom.

Alan Moore. Kevin O`Neill

Liga niezwykłych dżentelmentów – stulecie 1969



Ekskluzywnie wydany tom – kolejny zresztą w serii – szanowny wydawca opatrzył informacją, że to raczej komiks dla dorosłych. Wcale jednak nie chodzi o obyczajową poprawność – scen seksu i przemocy jest sporo – ale raczej o rzeczywistość taką, że nastoletni niewyrobiony czytelnik nie odczyta wszystkich kontekstów, cytatów i smaczków, jakie twórcy upchnęli w fabułę.

Bo wiadomo – seks i przemoc i tak w tych wszystkich Internetach są i będą. Żadna ACTA tego nie powstrzyma. Ale komiksów o wartościach wizualnych i fabularnych to już tak łatwo skopiować się nie da. Liga Niezwykłych Dżentelmentów tym razem ląduje w roku pańskim 1969 i to w Londynie (pamiętam, nie ma takiego miasta). Ten opanowany jest przez hippisów i wszystko co łączy się z rock’n’rollowym trybem życia. Seks, narkotyki, muzyka, swoboda obyczajów wszelakich, muzyka, narkotyki, seks. W dowolnej konfiguracji i ilości. Sprawa, jaką ma LND rozwikłać, jest tajemnicza, niełatwa i magiczna. Wszystko jednak kończy się w miarę dobrze, dzięki czemu spokojnie mogę czekać na kolejny tom.

Niektóre komiksowe kadry prezentują się tak jakby mógł wyglądać obraz namalowany pod wpływem jednoczesnego słuchania płyt Jimiego Hendrixa oraz Pink Floyd, ale oczywiście po su- tym spożyciu różnych rozrywkowych substancji.

Irving Stone

Jack London. Żeglarz na koniu



Od pierwszego akapitu miałem poczucie, że to proza wybitna i intuicja mnie nie zawiodła. Takie książki należy nie czytać, a smakować.

Opowieść dotyczy Jacka Londona – pisarza. Tworzył on w czasach, gdy słowa „pisarz i pisanie” naprawdę wiele znaczyły. Bo jak jest dziś, wszyscy wiemy. Wystarczy zerknąć do Internetu – wszyscy potrafią pisać. Z myśleniem już trochę gorzej. Autor *Białego kła* i innych świetnych historii łatwo w życiu nie miał, przeciwnie – częściej miał pod górkę niż z górki. Jednak dzięki hartowi ducha i ciała (każdy porządny pisarz powinien być po trosze awanturnikiem), talentowi oraz zapalowi do pracy doszedł do tego... do czego doszedł. Stone opisał biografię Londona takim stylem, że to kolejna wartość tej książki. Można ją czytać choćby i tylko ze względu na jakość języka.

Poproszę o więcej prozy tej klasy.

Yasmina Reza

Bóg mordy



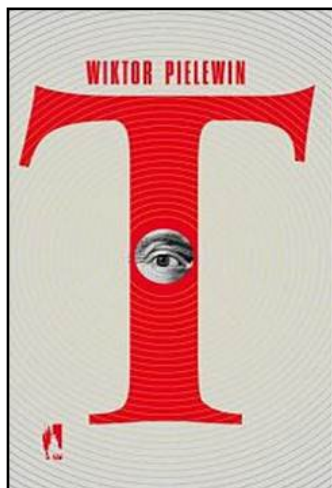
Historia, a raczej sztuka teatralna o tym, jak z pozoru błahe wydarzenie przeradza się rychło w katastrofę. Czyli – życie.

Ponieważ Roman Polański nakręcił na podstawie tej sztuki film *Rzeź*, wszyscy zainteresowani zapewne znają i fabułę (i świetną obsadę). Francuska pisarka sprowadziła rzecz do minimum słów, dzięki czemu stworzyła pole dla maksimum domysłów. Postacie skonstruowała tak, że dam sobie dowolną kończynę odjąć, że każdy, powtarzam, każdy odnajdzie tu jakieś swoje zachowanie, postępowanie lub jakiś mniej lub większy grzeszek. W tej liczbie – i autor tejże recenzji.

Ta sztuka jest jak lustro – czytając patrzmy na siebie, albo otaczających nas homo sapiens. Okazuje się, że to sztuka o nas wszystkich. Nie mnie rozstrzygać, czy lepszy film, czy książka, bo nie jestem kozą z powszechnie znanego dowcipu.

Wiktor Pielewin

T



Nie dajcie się zwieść zdawkowemu tytułowi tej powieści. *T* to literatura z tych przez wielkie L.

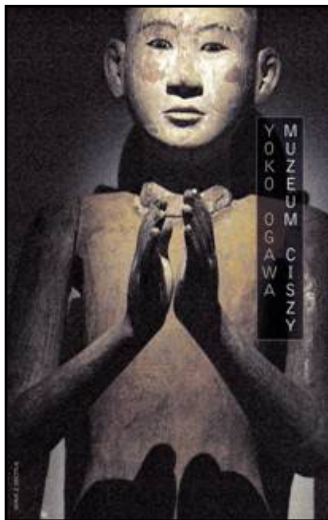
Pielewina czytam, odkąd tylko zaczął się w Polsce ukazywać. To pisarz, który udanie łączy to, co w literaturze winno być wielkie, z tym co popularne. Jego *Omon Ra*, w którym Rosjanie wysyłają beznogiego kosmonautę (celowa amputacja – radzieccy piloci tak mieć powinni), by sterował łunocho-dem. A światu wmawiają, że to pełna automatyka. Odzieranie z mitów to chyba autorska specjalność Pielewina. W *T* jest równie bezkompromisowy – pastwi się nad Lwem Tołstojem tylko po to, by dokopać wydawcom, marketingowcom, bloggerom, księżom, władzy... A nawet przodkom. Jednak z jak wielką pisarską klasą to robi. Z jednej strony wartka fabuła, z drugiej refleksje natury socjologicznej, psychologicznej i teologicznej. Literacki post-

modernizm? Można tak powiedzieć, lecz to wcale nie wyczerpuje tematu.

Pisarska robota wysokiej klasy.

Yoko Ogawa

Muzeum ciszy



Proza kontemplacyjna?

Trudno jednoznacznie określić książkę pani Ogawa. Na pewno jest dobra, na pewno jest wartościowa, przemyślana, subtelna. Ale i – budząca niepokój. Dręczący, czający się niepokój. Bo jakże to tak? Muzeum, sztuka, historia, tajemnica. A tu przemoc, krew, gwałty, seks i w ogóle bardzo niechrześcijańskie obrazki. Bardzo zmyślnie opowiedziana i poprowadzona historia. Utonąłem w niej niczym w jakichś przestworach.

Skończyłem jakiś czas temu, a nadal kiedy patrzę na tę książkę, czuję niepokój. Życie wcale nie jest takie proste.

**Stephen King. Joe Hill.
Nancy A. Collins. i in.**

*Jest legenda. Antologia w hołdzie
Richardowi Mathesonowi*



Zestaw nazwisk w spisie treści imponujący. Mistrzowie grozy sięgnęli po krótką formę, by oddać hołd innemu królowi horroru.

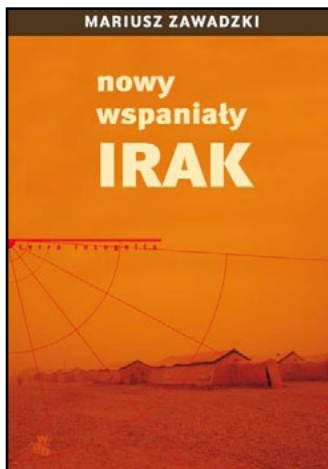
Tytuł antologii nadano nieco na wyrost – ale wiadomo, marketing rządzi, a Amerykanie uwielbiają przesadzać. Sam zbiór to zestaw opowiadań, w których opisują się sławy, które wcale tego robić nie muszą. Nazwiska na rynku mają od lat „wyrobione”. Ewementem jest fakt, że po raz pierwszy ojciec (Stephen King) i syn (Joe Hill) oficjalnie połączyli siły i napisali coś razem – gnający na złamanie karku *Gaz do dechy*. Mimo że to opowiadania grozy, znaleźć można w nich sporo ciekawych, trafnych a nawet komicznych spostrzeżeń obyczajowych, np. *Wezwany*. Historia o facecie, który zro-

bi wszystko, by utrudnić życie swoim sąsiadom. Jak mawiał Mark Twain: „Bóg stworzył sąsiada, bo rozczarowała go małpa. Dalszych eksperymentów zaniechał”. Co bardziej leciwym czytelnikom może przypomnieć się, że za czasów PRL był transmitowany serial – epizodyczne historie niezwykłe. Odpowiadał za nie właśnie Matheson.

Antologia, jak to antologia. Między opowiadaniem świetnym, dobrym i takimi sobie znajdzie się jakiś kiks. Ale całość, mówiąc kolokwialnie, „trzyma się kupy”. Lektura szybka, miła, miły dreszcz strachu czasem obecny.

Mariusz Zawadzki

Nowy wspaniały Irak



Reportaż, ale już nie z pola walki, tylko kraju wolnego. Podobno.

Dzięki wojnom, okupacji wyzwoleńczej i tym samym gorącym newsom, żyłem w błogim przeświadczeniu, że o Iraku wiem już prawie wszystko. Na szczęście z tego błogostanu wyrwała

mnie książka Zawadzkiego. To reportaż, jaki lubię. Człowiek idzie do ludzi z ulicy, łąduje się w samo centrum, by poznać, jak to jest z tym Irakiem, tak na serio. U podstaw. I okazuje się, po raz kolejny, że wiadomości bądź filmy fabularne swoje, a życie swoje. Po lekturze – dzięki właśnie żywym ludziom, ich opowieściom i ich relacjom raczej się do Iraku na wakacje nie wybiorę. Doszedłem do mało oryginalnego wniosku, że media kłamią.

Zawadzki piórem do Kapuścińskiego nie dorasta, ale to tylko dlatego, że jego jeszcze nikt nie przeskoczył i pewnie długo nie przeskoczy.

Mark Hodder

W dziwnej sprawie Skaczącego Jacka



Jeśli coś poleca Michael Moorcock, to rzecz z pewnością warta jest zapoznania się.

Moorcock jako guru epoki hippisów, mistrz odjazdu oraz twórca cyklu o Elryku z Melnibone zapewne nie będzie rekomendował byle czego... Powieść Hoddera to mocno zakręcona historia o angielskich dżentelmenach, śledztwie, podróżach, podróżach w czasie, różnych (złych i dobrych) istotach oraz o tym, że niegodziwość musi być ukarana, tajemnica rozwikłana, a moralna słuszność nagrodzona. Wiele trudu zadał sobie autor nie tyle nanizując fabułę, co opisując świat poprzedniej epoki. Jednym z bohaterów drugiego planu uczynił Oscara Wilda. Mark Hodder to debiutant – daj nam, Panie Boże w Polsce tak sprawnych warsztatowo debiutantów.

Powieść powinna przypaść do gustu fanom nowych, kinowych wersji Sherlocka Holmesa.

Opracował: *Dawid Brykalski*

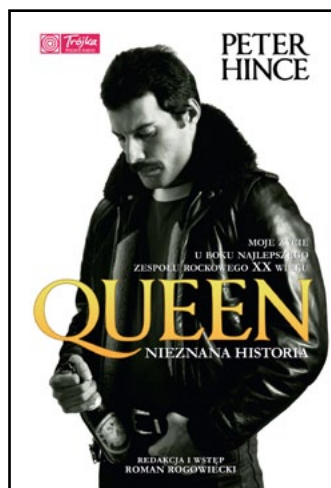
Show *wcale nie musi* go on

Biografie, autobiografie muzyków, zespołów, artystów i gwiazd w większości są bardzo podobne. Mniej lub bardziej udanie opisują życie, karierę i mniej lub bardziej nadęte ego danej osoby. Na plus wyróżnia się biografia Lemmy'ego – skarbnica dowcipnych cytatów, oraz autobiografia Dylana – literacki kunszt. Wolę nie myśleć, co by było, gdyby mieli razem dziecko.

O Queen też już sporo wydano, ale *Queen - nieznana historia* spodobał mi się, ponieważ... napisał je człowiek z ekipy technicznej. Człowiek prosty i szczerzy do bólu. Ale i lojalny. A to daje zupełnie nową perspektywę. Peter Hince spędził w ekipie Queen trzynaście lat. Widział, słyszał i przeżył niejedno. W żadnym jednak fragmencie nie zdradza jakichś „smakowitych”, czyli w rzeczywistości niesmacznych szczegółów dotyczących członków zespołu. Fani plotka, pudelka, superaka, fucktu, gołej dupy Dody albo kaszlu Nergala nie mają tu czego szukać. Przeciwnie – jeśli już pada jakiś detal dotyczący Freddie'go, Johna, Rogera czy Briana to raczej jest to życzliwy, przepełniony przyjaźnią niuans, który dodaje muzykom ludzkiego wymiaru.

Dla Hince'a zasady są proste – chcecie tanich bulwarowych sensacji?! Kupcie i czytajcie prasę bulwarową. Jeśli

chcecie poznać fakty dotyczące tego, czy Freddie uprawiał fisting, musicie poszukać w innych książkach. W tej nie znajdziecie nawet takiego słowa, nie mówiąc już o jego znaczeniu. W swo-



Peter Hince
Queen - nieznana historia

im pisaniu kieruje się rzetelnością, dystansem i poczuciem humoru. Jeśli już nie stroni od pijacko seksualnych wybryków, to są one związane z samym autorem lub innymi członkami ekipy technicznej. Okazuje się, że obsługa zespołu wie o życiu niczym marynarze. W każdym porcie inna miłość i to z tych co to jedna jedyna na całe życie.

Aż trudno wymienić przy ilu fragmentach się śmiałem w głos. Okazuje się, że techniczni to ludzie, którzy muszą jakoś odreagować swoją ciężką pracę, więc ich wzajemne kawały nie raz nie dwa przypominają *Jackass*. A tam przecież nikt nikogo nie oszczędza. Dowcipy bywają ciężkie, a nawet germańskie... Jeśli wiecie o co chodzi. Podbój USA też Queen wyszedł na wesoło, ten kraj jest chyba naprawdę przepełniony kiepsko wykształconymi ludźmi.

Wiele ciepłych słów – choć i zdarzają się gorzkie – poświęca Hince Mercury'emu. Mawiano, że Freddie potrafił zaśpiewać wszystko oprócz dzwonek w *Bicycle Race*. W tej książce znajdziecie tego potwierdzenie. Relacja między Hince'em a wokalistą była naprawdę bliska. I tym trudniejsza, że Freddie miał swoje chimery. Nie da się ukryć, używał życia, był jego królem. Ale cenił też sobie prywatność i sądząc po opisach autora – był skromny. Nie zawsze i nie wszędzie, ale jednak tak – jakby zdawał sobie sprawę, że jest tylko człowiekiem, a nie posłańcem bogów, jakim chcieli go widzieć fani.

Jest to opowieść, której początek zaczyna się w 1973 roku, a kończy na 1986 r., kiedy to Hince definitywnie porzuca Queen, by zająć się fotografią. Mimo wielu prób skłonienia go do

powrotu twardo stał na stanowisku, że ma dość dyspozycyjności 24 godziny na dobę oraz roli człowieka dosłownie od wszystkiego. Ale dzięki doświadczeniu, jakie Hince zdobył i opisał możemy poznać historię Queen od zupełnie innej strony. Strony, którą poznaje naprawdę garstka osób – najbliższe otoczenie zespołu i... to już niestety wszyscy.

Nie wiem kto pomagał autorowi przy pisaniu czy redakcji, ale podejrzewam, że jakiś profesjonalista za tym stoi. Napisane jest zbyt dobrym językiem, by był to tylko zapis wspomnień. Nawet najprzypadniejszy człowiek nie pisze tak dobrze o wydarzeniach, które miały miejsce blisko 40 lat temu. Oczywiście, to żaden zarzut – przeciwnie, to zaleta. Porządnie zredagowana historia jest tak przyjemna w czytaniu, że kartki same się przewracają, a czytelnik uczestniczy w kolejnych niebywałych wydarzeniach. Prawdziwi punkt kulminacyjny pod czas tej lektury to wyprawa do Ameryki Południowej. Było śmiesznie, groźnie, groteskowo i z rozmachem. Zespół został m.in. obrzucony bateriami od przenośnych magnetofonów.

Nie dość, że wyciągnąłem wszystkie płyty Queen i słuchałem podczas lektury, to przypominało mi się jak poszedłem do łódzkiego kina Prexer na pokaz koncertu Queen z Budapesztu. Z wrażenia nie spałem całą noc. Zaraz potem zapragnąłem zebrać całą dyskografię Queen i udało mi się. Były wtedy miejsca, gdzie odpłatnie przegrywano płyty CD na kasety. To nie było do końca legalne, ale mnie nie stać było na CD i nie były one tak łatwo dostępne. Jakość usług też była

niska. *Flash Gordon* reklamowałem chyba z dwanaście razy! Silne emocje towarzyszyły mi i towarzyszą podczas słuchania *Innuendo* – nie ma nawet porównywalnej płyty do niej. Freddie zawarł w niej jakiś rodzaj magii, jakby artystyczny testament, ale zarazem – śpiewa pogodzony ze sobą, losem i światem. Transmisję *Tribute To Freddie* oglądałem do białego świtu i byłem rozzeczony, że nie mam z kim o takim wydarzeniu pogadać. Na *Nieśmiertelnego*, jeszcze jako smarkacz, poszedłem z kumplami chyba z sześć razy, oczywiście, że uciekając ze szkoły. Z Live Aid zapamiętałem jak Bono wskoczył w tłum i zniknął oraz dwadzieścia minut Queen, które minęło niczym jedna minuta. No i wy-

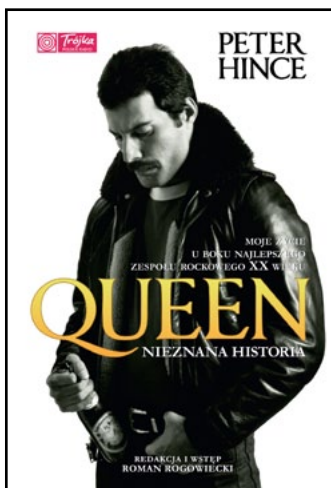
ciągnąłem z sejfu *Night At The Opera*, a na niej... ozdoba kolekcji – autograf Briana Maya.

Taki właśnie to był zespół i mam wrażenie, że Hince też chciał tak go sportretować. Dołączył kilka rewelacyjnych zdjęć, trochę ponarzął na to, że ciężko było w robocie. Ale ponadto – dał dowód jak wielkim, niepowtarzalnym zespołem był Queen. A opisał to tak, że nawet jak ktoś nie zna, nie lubi, nie chce znać, to książkę tę może przeczytać jako zapis minionej epoki, historii życia i pracy pewnych ludzi. Przepiętnych pasją i talentem, ale i mających swoje wady. I to wszystko już nie wróci, więc show wcale nie musi go on.

Dawid Brykalski

Konkurs

4x



15 maja rozdamy czytelnikom:

2 egzemplarze papierowe
2 e-booki*

Wystarczy wysłać na adres
konkurs@alterpop.pl
odповідź na proste pytanie:

**Gdzie urodził się
Freddie Mercury?**

* wymagane konto w Woblink

Rozdział I

Przedstawienie musi trwać *The show must go on*

(Ekipa gotowa - gdzie jest Fred?)

– Nie dam rady! Już nie mogę! Nic z tego nie będzie, trzeba odwołać koncert!

Freddie Mercury, wokalista rockowej grupy Queen, często deklarował na koncertach, że chciałby uprawiać seks z każdym na widowni. Cóż, tego dnia wyglądał, jakby zeszłej nocy właśnie to robił – spał z publicznością. Oraz z ich znajomymi i znajomymi znajomych. I do tego jeszcze pił z każdym z nich.

Queen jest u szczytu kariery. Szczytu sięgają też ich ekscesy. Fred, błądy i wąty, chowa się w garderobie za kulisami. Przed sceną pełna widownia – blisko dwadzieścia tysięcy wyjących fanów rocka. Do koncertu została niespełna godzina, a pan Mercury jest nie w sosie i nikt z obecnych nie ma odwagi zareagować. Wszyscy starają się nie zwracać na niego uwagi i jakoś to przeczekać. Ale nic z tego. Fred wstaje, teatralnie wymachuje ręką i jeszcze raz dobitnie daje wyraz swoim uczuciom:

– Mówię wam, że nie dam rady wystąpić! Gardło mi wysiadło. Sam też wysiadam!

A czego się spodziewałeś, skoro wrzeszczysz na cały głos?

Brian May i Roger Taylor zaczynają coś mamrotać, by go wesprzeć i przekonać do występu, podczas gdy basista John Deacon, rozwalony na kanapie ze słuchawkami od walkmana w uszach, potakuje i uśmiecha się. Właściwie to szczerzy zęby. Tymczasem „kierownictwo” porzuca rozstawione na długich

stołach kopiaste talerze i zaczyna nerwowo szukać numerów telefonów do prawników i agentów ubezpieczeniowych. Organizator imprezy błędnie.

A Fred ma to, czego chciał – jest w centrum zainteresowania. Do perfekcji opanował sztukę robienia przedstawienia. Stara pierdoła! To nie pierwsza taka sytuacja. Ale tym razem Fred chyba nie żartuje.

Jeden z asystentów zespołu kartkuje przewodnik Spartacusa¹ i radośnie oznajmia Fredowi, że w okolicy znajduje się budka telefoniczna dla gejów, gejowskie przejście dla pieszych, a nawet całodobowy sklep żelazny dla gejów, i że po koncercie mogliby tam razem pójść. Na Fredzie żart nie robi chyba wrażenia.

Może drink na poprawę nastroju? Twój ulubiony szampan – Moët? Nie.

Może wódka, oczywiście dużo? Nie. Nie będzie łatwo.

– Daj mi fajkę – żąda Fred, zwracając się do jednego ze swoich „pokojowych”.

Sięga po lighta i zaciąga się niedbale.

Na pewno dobrze mu to zrobi na głos...

Gerry Stickells, sprytny kierownik trasy Queen, do tej pory krążący po pokoju i przyglądający się sytuacji z boku, przechodzi do Freda i łaskawie przypomina panu Mercury'emu, że przybyło mnóstwo ludzi – wszystkie bilety sprzedane

¹ *Informacyjno-turystyczny przewodnik dla gejów – przyp. tłum.*

– którzy zapłacili spore pieniądze i długo czekają, by zobaczyć go na scenie, i byłoby niefajnie, gdyby ich zawiodł, bo w końcu Fred nigdy nie zawodzi swojej publiczności, prawda?

A ja? Ja, Peter Hince (zwany też Rattym), techniczny Freda i Johna oraz szef ekipy technicznej zespołu Queen, nie zwracam uwagi na cały ten melodramat i powoli przechadzam się po przebieralni. Jako jeden z nielicznych mam wstęp za kulisy przed występem. Po tych słowach kierownika trasy Fred trochę się uspokaja, oddaje komuś niedopalonego papierosa, bierze łyk ciepłego miodu z cytryną, krzywiąc się przy tym, i z obrażoną miną rozsiada się na krześle. Milczy nadal, gdy reszta zespołu zaczyna gorączkowo wypytywać kierownika trasy, asystenta i technicznego, zadając typowe przed występem pytania:

– Jak tam dźwięk po wpuszczeniu publiczności? Czy wszystkie bilety sprzedane? A jak bilety na resztę trasy, też wyprzedane? Czy nowy singiel dotarł już na pierwsze miejsca list przebojów? O której zaczynamy? A o której kończymy koncert? Jak tam jest – ciepło, zimno? Udało wam się pozbyć tego wstrętnego brzęczenia w odsłuchu? Van Halen naprawdę ma więcej świateł na koncertach niż my? A jak idzie sprzedaż gadżetów – jest popyt na opiekacze firmowane przez Queen...?

Garderoby zespołu Queen różniły się między sobą rozmiarem i stylem w zależności od miejsca, w którym odbywał się koncert. Teatry dysponowały oczywiście przebieralniami z prawdziwego zdarzenia, ale w przypadku koncertów na stadionach zaplecze musiało być odpowiednio „podrasowane”, by mogło służyć za garderobę godną Królowej. Betonowe podłogi kryły się więc pod dywanami, na gołych dotąd ścianach upinano materiały lub wieszano obrazy. Dodatki w postaci mebli, lamp, kwiatów i dzieł sztuki miały umilać artystom czas spędzany za kulisami. Do tego przy

każdej garderobie musiały być łazienki, lustra do przygotowywania makijażu scenicznego, specjalne pomieszczenia na walizki ze strojami członków zespołu oraz przestrzeń wypoczynkowa z ustawionymi wzdłuż ścian stołami z poczęstunkiem.

Tymczasem od strony sceny, z dala od przytulnej garderoby, dochodziły dudniące odgłosy dającej z siebie wszystko grupy supportującej Queen. Zdarzało się, że któryś z chłopaków był spięty lub poirytowany i nalegał, by grupa towarzysząca grała ciszej, żeby chłopaki z Queen mogli się w spokoju przygotowywać do występu...

– No i? – skierowałem swoje pogodne pytanie do jednego z najlepszych showmanów w historii rocka.

– Słucham, o co ci chodzi? – odpowiedział jakby trochę żwawiej. Chyba humor mu się poprawił.

– Utwory. Jakie wybrałeś utwory na dzisiejszy wieczór?

– A no tak. Jasne.

Stara pierdoła, która budziła we mnie ogromny szacunek, podziw i... irytację, jednak zdecydowała się wystąpić. W sumie to ani przez chwilę nie wątpiłem, że Fred nie zawiedzie swojej publiczności, zespołu i całej ekipy, która przynajmniej od dwunastu godzin stawała na głowie i próbowała dopiąć wszystko na ostatni guzik tylko po to, by on mógł sobie przez chwilę poskakać po scenie w kilku nowych wdziankach. Jak zawsze, tak i tym razem siła woli, wiara w siebie i determinacja miały mu pomóc przetrwać występ.

Tylko garstka osób miała prawo zbliżyć się do Freda podczas przygotowań do występu. Ja zwykle podchodziłem do niego, otoczonego przez tych wszystkich „pięknych i ważnych”, z pytaniem:

– Ej! Więc co masz ochotę dziś zagrać?

– Sam nie wiem. A może zgadnij?

– Zgadnąć?

– Tak, Ratty, zgaduj! – odpowiadał, chichocząc na potrzeby otaczającego

go wianuszka ludzi. Śmiał się przy nich jakoś tak sztucznie.

– Nie ułatwiasz mi sprawy, Fred.

– No to ci nie powiem – mówił, zaznaczając swoją władzę, co było kolejnym elementem przedstawienia dla zaproszonych gości.

– No dobra – zgadzałem się obojętnie, wiedząc, że to część jego gry.

– To chodźmy na rękę i zobaczymy – wyzywał mnie, prężąc mięśnie.

– Że co?

Ci, którzy nie wiedzieli, jak dobrze się rozumiemy, dziwili się, że jakiś rozczochrany i nieokazujący artyście za grosz szacunku techniczny może liczyć na taką uwagę ze strony jednej z największych gwiazd rocka. Następnie Fred wybuchł śmiechem i wymachując rękami, oznajmiał dramatycznym głosem:

– No dobra, ty wybieraj!

Cała sytuacja, choć schlebająca mi na pewno, była mało konstruktywna, więc zazwyczaj sugerowałem, by zagrał kilka numerów Zeppelinów, jakiś klasyk Stonesów i „jeśli chcesz, dorzuć kilka swoich numerów”.

– Ty fiucie! – Okładając mnie ręcznikiem, czy co tam akurat miał pod ręką, gonił mnie po garderobie, krzycząc dalej:

– Zupełnie jak na ostatnim koncercie!

Czyli z głosem już lepiej, tak?

I tak tworzyła się lista utworów. Jej skład budził przed każdym występem ogromną ciekawość świty zespołu. Ostateczną decyzję podejmował zawsze Fred w zależności od samopoczucia swojego i swego głosu. Zazwyczaj lubił trochę namieszać, by wszyscy byli czujni. Czasem nazywał listę utworów granych przez Queen „naszym repertuarem”. Jakby nie patrzeć, był bardzo elokwentnym i odcytanym człowiekiem.

„Scaramouche i fandango?”

Niesamowicie inteligentnym i wykształconym.

„Gromy i błyskawice – ogromnie przerażające!”

Mistrz słowa, którego wieloznaczne teksty pełne były głębi i literackiego kunsztu.

„Chciał jeździć na rowerze...”

Tytuły utworów zapisywało się skróto. I tak na przykład *Bohemian Rhapsody* funkcjonowało jako *Bo Rap*, a *We Are the Champions* jako po prostu *Champions*. Poprawki zawsze nanosiło się czarnym flamastrem, bo różne piosenki były dodawane lub wyrzucane z listy.

Dodatkowe informacje dla zespołu i ekipy zapisywało się obok tytułów piosenek. Na przykład napis „Fat D” był informacją dla Johna, że przed piosenką *Fat Bottom Girls* musi przestroić gitarę na D-dur („Fag B”² z kolei oznaczało przerwę na fajkę dla mnie i Johna, bo Fred znajdował się wtedy poza sceną i nie musiałem go nieustannie pilnować). Jak na beczelną ekipę przystało, często zmienialiśmy tytuły utworów na listach: *We Will Rock You* na *We Will ROB You* (*Okradniemy was*), *Now I'm Here* na *Now I'm Queer* (*Teraz jestem gejem*), *I Want to Break Free* na *I Want to Break Wind* (*Chcę puścić bąka*), *Flash!* na *Trash!* (*Śmieć!*). I tak dalej.

Lista utworów przyklejona do klapy fortepianu Freda była pierwszą chronioną informacją przedostającą się na zewnątrz podczas przygotowań do koncertu. To właśnie jego trzymetrowy czarny fortepian koncertowy Steinwaya pojawiał się na scenie jako pierwszy i kiedy ekipa opuszczała go z gigantycznej skrzyni transportowej, czekając na doczepienie trzeciej nogi, zgromadzeni na scenie już wczytywali się w listę i komentowali proponowany przez Queen dobór repertuaru. Tymczasem piszący te słowa, przyciśnięty toną drewna, metalu i imitacji kości słoniowej, wrzeszczał do wścibskiej ekipy, by „podniosła to

² „Fag” to slangowe określenie papierosa – przyp. tłum.

cholerstwo", żeby mógł wbić na miejsce ostatnią nogę.

W miarę zbliżania się koncertu, w strategicznych miejscach sceny pojawiały się ręczniki i napoje dla członków zespołu: woda i piwo dla Freda, piwo dla Briana i Rogera, a dla Johna cały barek składający się z wody, piwa, napojów bezalkoholowych, wina oraz alkoholu i drinków, w których John aktualnie gustował – likieru Southern Comfort, wódki lub tequili. Oprócz baterii drinków znajdowała się tam też mieszanka orzeszków i m&m'sów. Wszystko to umieszczone było dyskretnie tuż obok jego elektronicznej konsoli, by mógł jednocześnie wychylać się do pokręteł i wychylać drinki. Tutaj też John miał przyklejony egzemplarz listy – dla niego i reszty zespołu – z godzinami otwarcia okolicznych pubów...

W latach siedemdziesiątych, kiedy zespół Queen nosił się w jedwabiu i satynie, Fred zwykł stawiać kilka lampek do szampana na klapie fortepianu i popijać zeń od czasu do czasu. Woziłem ze sobą zapas tych kieliszków owiniętych w stare ręczniki na dnie skrzyni transportowej, a przed występem przecierałem je koszulką i napełniałem miejscową kranówką.

Nigdy nie był to szampan. Tam, gdzie woda w kranie miała niepokojący kolor, próbowałem raczyć go wodą Perrier, ale Fred rugał mnie, że po wodzie gazowanej mu się odbija! Po nieszczęśliwym wypadku, podczas którego jeden z widzów został skaleczony kieliszkiem, kazano mi zamienić lampki szklane na plastikowe. Fred był przerażony, gdy zobaczył tandetne plastikowe kieliszki, kupione w sklepie z gadżetami na imprezy, i w rezultacie przerzuciliśmy się na zwykłe plastikowe kubeczki napełnione wodą Evian lub inną niegazowaną wodą mineralną – wyszukany mi zdobyczami naszych zaopatrzeniowców.

Przed występem Brian ze swoją obstawą szedł do pomieszczenia za sce-

ną, gdzie stroił gitary i rozgrzewał palce. Nieustannie przy tym z kimś rozmawiał i pochłonięty dyskusją zapominał, które gitary już nastroił. Nieraz zdarzało się, że musiał zaczynać od początku. Jednego razu, tuż przed koncertem, bezskutecznie próbował podłączyć ukulele do elektronicznego stroika.

– Brian, przecież to jest instrument akustyczny!

W odpowiedzi uśmiechnął się szeroko i nastroił ukulele na ucho. Na scenie to ja stroiłem gitary Johna i Freda, ponieważ trzeba było to robić w takiej temperaturze i atmosferze, w jakiej będą używane. Już po kilku pierwszych koncertach w trasie Fred i John raczej nie zajmowali się osobiście kontrolą dźwięku. Nabierali zaufania do ekipy. No i mogli dłużej pospać przed występem.

Członkowie zespołu Queen nie należeli do osób nieśmiałych, ale czasem, przy okazji wielkich koncertów plenerowych czy w ogromnych salach widowiskowych wielkich miast lub tych odwiedzanych po raz pierwszy, nawet ich dopadały nerwy. Środkiem zaradczym na stres okazywały się lekceważące żarty członków ekipy. Muzycy Queen mieli do siebie duży dystans i potrafili śmiać się z komicznego efektu swoich pompacyjnych wyczynów, co zdecydowanie pomagało im nie tracić kontaktu z rzeczywistością. A trzeba powiedzieć, że byli otoczeni pochlebami gotowymi przyklasnąć wszystkiemu, co zespół robił.

– Fred, publiczność już jest.

– Dobrze, jak wyglądają?

(Jak wyglądają? Wyczekująco? Mądrze? Groźnie?)

– Wyglądają mi na całkiem miłą parkę.

– Ty durniu!

– A tak przy okazji, nowa płyta właśnie osiągnęła status...

– Złotej? Platynowej? Podwójnej platynowej? – wtrąca beczelnie ktoś z zespołu.

– Nie, winylowej.

– Wal się.

– Podobno jakaś pani z Slough kupiła jeden egzemplarz...

– A wal się i tyle! Dobra, jedziemy z koksem! O której zaczynamy?

W korytarzach za kulisami wyczuwało się podniecenie i nerwowość, gdy szum na widowni się wzmacniał, a zespół przebierał nogami, by w końcu wyjść na scenę. Ekipa techniczna ze lśniącymi plakietkami „Wstęp nieograniczony” zawieszonymi na szyjach wchodzi na scenę, by sprawdzić sprzęt oraz wy badać żeński „potencjał rozrywkowy” w pierwszych rzędach.

W tym czasie garderoba Queen pu stoszeje, podczas gdy zespół, już w kostiumach, stroi piórka i szykuje się do mającej za chwilę nastąpić onieśmiejającej i oszałamiającej próby ognia. By przećwiczyć nerwy i rozgrzać struny głosowe, Fred i Roger darli się, wchodząc na bardzo wysokie częstotliwości, niczym marcujące nocą koty. Roger natomiast, by rozgrzać nadgarstki, stukał i walił pałeczkami do perkusji we wszystko, co popadło, w tym w swego asystenta i byłego technicznego, Chrisa Taylora (zwanego też Crystal i bynajmniej niespokrewnionego z bębniarzem Queen).

Zdarzało się, że Queen spóźniał się na występ. Ale raz, podczas występu w Hiszpanii, spóźnili się nie ze swojej winy – ówczesny operator świateł, Joe Trovato, spożył wcześniej sporą ilość taniego lokalnego wina, co przez długi czas nie pozwoliło mu na opuszczenie toalety. Siedząc w odosobnieniu, biedaczek stracił poczucie czasu i dopiero dyskretne pukanie i zaniepokojony znajomy głos pytający, czy wszystko w porządku, skłoniły go do otworzenia drzwi. W drzwiach stał Fred oraz reszta zespołu – wszyscy wystrojeni i gotowi do występu. Joe ze skruszoną miną poprawił ubranie i zasiadł za konsolą do kontroli świateł.

Czas na show – show w wykonaniu Queen, czyli to, na co czekaliśmy cały dzień. Liczy się tylko kilka najbliższych godzin. Zaraz Queen zagra koncert

w waszym mieście, dla was i tylko dla was – garstki szczęśliwców, którzy zdobyli bilety. Te cztery twarze dobrze znane z mediów wystąpią i zagrają na tej scenie na żywo – we własnej osobie i w kolorze. Przebyli długą drogę, walcząc z przeciwnościami losu i kacami, by ofiarować wam te zupełnie szczególne chwile. Nie zmarnujcie tego!

Scena gotowa, wszystko dopięte na ostatni guzik, wykładzina na scenie odkurzona, sprzęt podłączony, wszyscy na miejscu i w pełnej gotowości. Ekipa techniczna w pogotowiu, choć bez mundurków (mimo usilnych prób zmuszenia nas do założenia strojów kamuflujących naszą obecność na scenie). Po pierwszej wizycie w Japonii, zainspirowani tamtejszą kulturą członkowie Queen obdarowali nas czarnymi „happi”, czyli krótkimi kimonami z nazwą zespołu „Queen” zapisaną japońskimi czerwonymi znakami na plecach. Zaiste stylowo, ale średnio praktycznie, zważywszy, że masz w tym rozkładać sprzęt. Do tego trudno w ubranku rodem z buduaru zdobyć szacunek ważącego sto pięćdziesiąt kilo i mierzącego blisko dwa metry kierowcy ciężarówki lub gościa od rozładowania sprzętu. Operatorzy reflektorów na scenie i na platformie nosili czarne kombinezony, ale ja jakoś nie czułem się w nich swobodnie, biegając to tu, to tam podczas występów, więc moim ulubionym strojem roboczym były jeansy i koszulka – najlepiej darmowy gadżet od zespołu – noszona jako oznaka przywiązania i szacunku.

Ostatnia próba instrumentów połączona była z kontrolą podłączeń. Chodziło oczywiście o sprawdzenie, czy wszystkie instrumenty są podpięte do odpowiednich kanałów i czy wszystko działa jak należy po występie grupy supportującej. To dlatego przed koncertem, zanim zespół wkroczy na scenę, słyszy się pobrzękiwanie gitar, walenie w bębny i podgrywki na fortepianie. Wszystkie te zabiegi wykonywane są z dużą precyzją

i kunsztem. Niebezpiecznie jest przy tym pokazać za dużo, ale też za mało umiejętności. Zasada numer jeden – to nie grać wtedy znanych riffów (pozer). Jeśli byłby to riff Queen, możesz narażać się na oklaski ze strony publiczności, a to oznacza piętnaście sekund sławy i wkurzenie całego zespołu. No i nieuchronnie reszta ekipy przypnie ci łatkę skończonego palanta. Najlepszym wyjściem jest zagrać kilku dźwięków i jednego lub dwóch akordów, dzięki czemu można nabrać publiczność, że naprawdę umie się grać. Zawsze jednak istniała ogromna pokusa, by podkręcić dźwięk i zasunąć parę taktów...

Wbrew pozorom sprawdzenie instrumentów tuż przed koncertem jest niezwykle ważne, bo po próbie nagłośnienia wiele rzeczy jeszcze ulega zmianie. Trzeba bardzo starannie ustawić głośniki, ponieważ akustyka może się zupełnie zmienić. Typowa wymówka inżynierów dźwięku brzmi: „Bez obaw – będzie brzmiało, jak wejdzie publiczność”. Nagle wszystkie przekaźniki radiowe zaczynają mieszać w bezprzewodowym systemie nagłośnienia gitar i mikrofonów. Temperatura i wilgotność powietrza zasadniczo wpływają na strojenie instrumentów, a w przypadku perkusji czasem powodują potworne sprzężenia zwrotne w postaci dudnienia. Mogło się na przykład okazać, że przez wzmacniacze Briana słychać lokalną radiostację lub firmę taksówkarską, a windy towarowe w budynku pracują na tej samej fazie co system nagłaśniający i w efekcie z głośników popłyną odgłosy charakterystyczne dla motorówki. Gwarantuję wam za to, że wszystkie tajemnicze chochliki elektroniczne rodem z otchłani Mordoru ujawniają swą obecność dokładnie na dwie minuty przed występem.

„RAZ – RAZ – DWA – DWA” – to znany okrzyk Jima Devenneya, specja od odsłuchu na scenie, wykrzykiwany do firmowego mikrofonu Freda – srebrnego Shure’a 565 SD. Jim przechadzał się po

scenie ze sławną „magiczną różdżką”, czyli chromowaną rurką będącą kawałkiem statywu – drugim obok mikrofonu rekwizytem scenicznym Freda. Służył on Fredowi za miecz, gitarę, karabin, kij golfowy lub bejsbolowy, czy cokolwiek tam mu akurat było potrzebne. Zazwyczaj reprezentował „kutasa, kochanie”. Po upewnieniu się, że wszystko jest ostatecznie gotowe, kierownik sceny łączył się przez walkie-talkie z garderobą i wzywał zespół na scenę.

Po opróżnieniu pęcherzy, otoczeni przez pomocników, główną krawcową i asystentów, ukryci za kulisami członkowie zespołu podskakiwali w miejscu, czekając, aż będą mogli ruszyć z bloków startowych. Do słuchawek głównego elektryka szła informacja, by wygasić salę. Ta ciemność bardzo podkreślała atmosferę, zarówno za kulisami, jak i na widowni. To ta niesamowita energia (oraz światło latarki) prowadziła Queen na scenę do tak zwanego Domu dla Lalek (*Doll House*) – ogromnej aluminiowej klatki umieszczonej w prawym tylnym rogu sceny i zasłoniętej czarnym materiałem. W tym niewidocznym sześcianie o powierzchni około sześciu metrów kwadratowych członkowie zespołu mogli na chwilę odsapnąć lub zejść z widoku, gdy akurat któryś z nich nie grał. Nawet nie wszyscy członkowie ekipy „Wstęp nieograniczony” mogli tam przebywać.

W tym momencie z głośników i odsłuchu grzmiała taśma z intro, próbując zdominować krzyk dochodzący od strony publiczności. Maszyny, sycząc, produkowały dym, przez który przebiegały pulsujące, budzące się do życia światła sceny. Stąd już nie było odwrotu. Setki świateł rampy mrugały i błyskały, choć na razie jeszcze całkiem powściągliwie. Pełną siłę reflektory pokazywały dopiero wtedy, gdy konstrukcja powoli ruszała w górę, niczym budzący się metalowy potwór, plujący ogniem wielokolorowych świateł.

Zespół ustawiał się na scenie – Roger skradał się, by zasiąść na stołku, schowany za połyskującą perkusją. Brian ze swoją własnoręcznie wykonaną czerwona gitarą, podłączoną do prądu przedłużoną spiralną pępowiną, krył się za ogromnym czarnym ekranem z lewej strony sceny. John, wyposażony w swego Fendera, nerwowo chodził tam i z powrotem za głośnikami, niczym przyszły tatuś przemierzający korytarze oddziału położniczego w oczekiwaniu na potomka.

Na znak z taśmy z intro, trio perfekcyjnie wstrzela się w graną piosenkę, Brian i John jednocześnie energicznie wyskakują z ukrycia na scenę. Tuż po pierwszych dźwiękach Fred kocim ruchem wypęła z Domku dla Lalek i krocząc lekko po scenie, zgrabnie odbiera ode mnie mikrofon. Powitalne okrzyki zwykle wzmagają się, gdy Fred stawał z przodu sceny, konstrukcja ze światłami ostatecznie zajmowała miejsce nad sceną, rzucając potężne snopy światła, a pirotechnicy odpalali sztuczne ognie. Wytwarzała się fantastyczna energia. Motto zespołu: „Oślepić ich i ogłuszyć!” – działało za każdym razem.

Oto przed wami zespół Queen! WIELKIE show, WIELKIE hity i obecnie – NAJWIĘKSZY ZESPÓŁ W HISTORII! Zespół mógł już wcześniej występować w danym obiekcie, ale jak to bywa przy sekretnych spotkaniach byłych kochanków, zawsze jest pewien rodzaj oczekiwania z obu stron – jak daleko dziś się posuniemy? W powietrzu można wyczuć napięcie seksualne – kto zrobi pierwszy krok?

Fred. To on był tu panem. Z wielką wprawą uwodził i czarował swoją publiczność, siłą lub podstępem przejmując nad nimi kontrolę. Posuwając się w tej grze coraz dalej, nagle zwalniał tempo, by pokazać swoją wrażliwość, a za chwilę znowu ich rozpalał i doprowadzał do ekstazy.

Stąd jego wyznanie – „Chciałbym się pieprzyć z wami wszystkimi!”.

Robił, co mógł, by tej obietnicy dotrzymać. Gdy ja przyzwyczająłem wzrok do mroku po wygaszeniu światel, oni przeżywali orgię na najwyższych obrotach. Dzień jak co dzień – taka praca. Większość koncertów Queen była bardzo dobra. Czasami trafiały się absolutnie niesamowite występy, rzadko ciut słabsze. Tak czy inaczej, Queen to zwierzę sceniczne, cudownie się na nich patrzyło. Przepis na ten sukces był całkiem prosty – oni po prostu świetnie grali. To byli muzycy, którzy do perfekcji opanowali swoje instrumenty i wierzyli w to, co robili. Gdy wyruszali w trasę po wydaniu nowej płyty, zawsze dawali z siebie wszystko, bo bez fałszywej skromności starali się o miano najlepszego zespołu na świecie.

Pierwszemu utworowi zawsze towarzyszyło lekkie napięcie – czy wszystko zadziała jak trzeba? Dla mnie było to oczywiste, ale czy zespół mógł siebie słyszeć aż tak dobrze? W tym momencie niezbędny stawał się kontakt wzrokowy. Nasz wewnętrzny język skinięć głowy, mrugnięć okiem i innych gestów służył do oceny poziomu zadowolenia zespołu. Wraz z rosnącą koncentracją zupełnie niezauważalne stawały się niewygody – dym gryzący w oczy, kłęby kurzu opadające po wybuchach pirotechnicznych czy spadające ze zbudowanych na scenie konstrukcji. Pierwszy numer szedł jak błyskawica. Potem zazwyczaj następował równie szybki kolejny utwór, niepoprzedzony nawet przerwą czy powitaniem. Dopiero po nim zespół Queen kłaniał się nisko swej publiczności, Fred krzychał: „DZIĘKUJEMY WAM!”, a następnie pytał:

– Macie ochotę na rocka?

– TAK!

– Macie ochotę na rocka?

– TAK!

– No to jazda (do cholery)!

Kolejny szybki rock and rollowy numer (lub dwa) podgrzewa atmosferę na

widowni, po czym pierwsza piosenka, w której wchodzi pianino, daje chwilę wytchnienia Fredowi i publiczności oraz pozwala mu przekazać mi wszelkie istotne informacje.

– Powiedz mu, że fałszuje – jak ja mam śpiewać jeszcze wyżej?!

– Ale komu?

– No wiesz! I temu drugiemu – nie łapie rytmu! Co z nim?

Potakiwałem tylko zgodnie.

– Nieważne. Powiedz mi lepiej, jak się mówi w Belgii „dobry wieczór” – dyszy.

– Masz to zapisane flamastrem na ręce.

– A jak mam to, kurwa, przeczytać w tych ciemnościach?

(Techniczny – jasnowidz, chłopiec do bicia i noktowizor w jednym)

– No tak, nie przeczytasz. Do tego stało się od potu.

– Jak?

– Hmm. Może „Guten Soir, senoras”?

– odpowiadam, wzruszając ramionami.

– Pieprzyć to! – Fred coś mamrocze, a następnie wybiera bezpieczną wersję angielską.

Szybka wymiana mikrofonu na szklankę ciepłego miodu z cytryną. Fred bierze łyk, by rozluźnić gardło, oddaje mi szklankę i zasiada do fortepianu. Fortepian to był zawsze najlepszy test, czy Fred jest zadowolony z obrotu spraw. Czy wszystko gra na planecie Merkury? Gdy on delikatnie muskał klawisze, rozluźniał się i rzucał komentarze w stronę swej wyczekującej publiczności, ja kucałem z boku koncertowego Steinwaya, bacznie obserwując Freda i starając się jednocześnie odwracać wzrok od wielobarwnych hipnotycznych refleksów odbijających się od kłapy instrumentu.

Reszta zespołu mogła w tym czasie odsapnąć, napić się czegoś oraz poprawić odsłuch. John miał zazwyczaj niewiele uwag, dotyczyły one głównie werbla i hi-hatu w odsłuchu podłogowym. Pierwsza piosenka, w której Fred grał na fortepianie, stanowiła jeden z kluczo-

wych elementów występu i gdy rzucał w moją stronę to spojrzenie, będące *de facto* serią skinień głowy, ruchów ręką i min, wiedziałem od razu, czy Fred chce, by pogłośnić mikrofon, czy fortepian brzmi zbyt ostro, czy jest zmęczony po ekscesach poprzedniej nocy oraz jak ocenia grę pozostałych członków zespołu. Wszystko to mogłem wyczytać z jego min, ruchów palców i skinień głowy. Jeden ruch ręki Mercurego był jak gest Królowej. Kreśląc okręgi palcami, dawał mi znak, że jest mu za gorąco i chce, bym włączył wentylator znajdujący się pod fortepianem. Gdy Fred skinął, mrugnął lub uśmiechnął się do mnie w sposób, który nie miał przypisanego znaczenia, czułem się, jakby starszy brat dodawał mi odwagi lub okazywał wsparcie.

Przyznaję, że napełniało mnie to dumą i sprawiało mi wielką frajdę. Co robiłem w zamian? Wygłupiałem się, improwizując z Crystalem teatryk tuż obok fortepianu, albo zakładałem czapkę z daszkiem otrzymaną od jednego z japońskich fanów zespołu. Taką z ogromnymi klaszczącymi dłońmi sterzczącymi nad daszkiem. Wyskakiwałem zza fortepianu i pociągałem za sznurek przyczepiony do tych dłoni, by razem z publicznością okłaskiwać Freda. Śmiał się z tego. Fred ogólnie dużo się śmiał. Potem gonił za mną aż za kulisy, by tam wymierzyć mi żartobliwego klapsa lub piąstkę. W każdej innej pracy, gdyby szef cię wałnął, byłoby to odbierane jako niewybaczalny incydent, bez względu na okoliczności, ale przyjmowanie ciosów od Freda należało niemal do moich obowiązków służbowych. Poza tym te ciosy pozwalały Fredowi rozładować skumulowane napięcie, miały zdecydowanie żartobliwy charakter i wcale nie bolały. No i tych kilka lat temu moje mięśnie były twarde jak skała!

Ekipa techniczna na scenie mogła obserwować publiczność w światłach reflektorów, ale członkowie zespołu nie widzieli widowni, ponieważ sami byli

oślepieni przez potężne snopy światła. Około stu reflektorów śledziło każdy ruch Freda, więc mógł jedynie nasłuchiwać odgłosów z widowni i starać się poczuć swoją publiczność. Rzadko kiedy widział coś więcej niż kilka pierwszych rzędów. Ale to mu wystarczało.

Po koncercie. Małe amerykańskie miasteczko. Pan Mercury komentuje:

– Widzieliście tych ludzi w pierwszych rzędach?! Co za paskudy! Nie zgadzam się, by tacy brzydale przychodzili na nasze występy!

To co, powinniśmy może urządzać castingi przed sprzedażą najlepszych miejsc na koncerty Queen? Może ustal to sobie sam z działem promocji...

Zawsze strasznie mnie kusiło, żeby rzucić okiem, jak „brzydale” reagują na jego muzykę, lub by „obczaić” laski, ale jak tylko Fred zauważał, że oddałam się za bardzo, posyłał mi przez scenę lub zza fortepianu mrozące krew w żyłach spojrzenie. Musiałem stale go obserwować, by w razie potrzeby w każdej chwili móc wskoczyć na scenę i na przykład odplątać kabel od mikrofonu złapany w liczne sceniczne pułapki. Oczywiście miałem to robić w sposób niezauważalny dla publiczności, czyli siedząc w kuczkach. Wyglądałem, jakbym cierpiał na jakąś chroniczną przypadłość dolnego odcinka kręgosłupa. Z połączenia mnie i „brzydali” z pierwszych rzędów jak nic wyszedłby Quasimodo.

Fred był wyjątkowo skupiony i uważny na scenie. Potrafił zgrabnie unikać żenujących sytuacji, nawet w szale twórczej ekspresji, w przeciwieństwie do Briana, który biegał po scenie tam i z powrotem jak w transie, nie zwracając uwagi na otoczenie, młócąc powietrze czarnym spiralnym kablem od gitary i czarną kędzierzawą czupryną. To Fred zwinnie uskakiwał w bok, by ich kable się nie poplątały i nie skrępowały im ruchów z komicznym efektem dla tłumu. Gdy Brian biegł już z powrotem w głąb sceny, ciągle w totalnym amoku, Fred

przekładał pod kablem jego gitary swój statyw od mikrofonu, by nie zostać unieruchomionym. Czasem oczywiście nie udało się uniknąć zaplątania. Wtedy Fred porzucał zaplątany mikrofon, zerkał na mnie porozumiewawczo i odbierał ode mnie zapasowy sprzęt. Czasami, gdy ja na czworakach próbowałem rozwiązać jakiś kablowy galimatias, on siadał mi na plecach i podskakiwał jak na koniu, chichocząc przy tym. Faktycznie, bardzo śmieszne. Fred, opanuj się, bo ludzie zaczynają gadać...

John nigdy nie przeżywał podobnych problemów, bo zawsze ustawiał się z przodu sceny lub na schodkach podestu dla perkusji. Podczas późniejszych tras zespołu zupełnie porzucił kable na rzecz przekazników radiowych firmy Nady, które stosował do wszystkich gitar. John był z wykształcenia elektronikiem, więc nie sposób było go oszukać, gdy coś w tej materii nawaliło!

Warto jednak wspomnieć, że w drugiej połowie lat siedemdziesiątych jedna z pierwszych prób użycia nadajników do podłączenia basu Johna zakończyła się fiaskiem. Podczas próby nagłośnienia testowałem ówczesną nowość w tej dziedzinie – system Schaeffera – i po zagranii kilku dźwięków na basie zapytałem Tripa Khalafa, inżyniera dźwięku zespołu Queen:

– I jak to brzmi? Nie za bardzo sprzęga?

– Brzmi jak pierdzący aligator – padła mało entuzjastyczna odpowiedź.

Jeszcze na jakiś czas musieliśmy się przeprosić z kablami...

Fred uwielbiał wykorzystywać kabel od mikrofonu jako rekwizyt sceniczny. Chwytał go i wykręcał z niewyobrażalną wprost intensywnością. Strzelał nim jak z bicia lub używał jako lasso. Dopiero podczas ostatniej trasy koncertowej *Magic Tour*, na wielkich stadionach z ogromnymi scenami do przemierzania, porzucił się na mikrofon bezprzewodowy.

– Mmmm, tak! Szczyt nowoczesności! – w ten sposób reagował na próbach na

widok nowej kosztownej technologii. – I do tego strasznie sexy!

Falliczny mikrofon Sony różnił się znacznie od jego poprzednika – klasycznego mikrofonu firmy Shure. Dłuższy, grubszy i do tego w matowym czarnym kolorze wyglądał jak „zabawka” prosto z któregoś z sex-shopów w Soho.

W dalszej części koncertu zespół Queen grał składankę starych i nowych przebojów, na zmianę z piosenkami z fortepianem w roli głównej, przy których Fred mógł złapać oddech. Po serii szybkich utworów, reflektor odnajdywał Freda leżącego na klapie fortepianu. Krzyczał wówczas: „Kurwa, wymiękam!”, a publiczność ryczała z zachwytu, dodając mu energii. Stawał wtedy na równe nogi i rzucał się na fortepian, udając, że z nimi kopuluje, na co ludzie reagowali jeszcze głośniejszymi okrzykami.

Fred nie nawiązywał jednak kontaktu z publicznością, siedząc za fortepianem. Czasem rzucał w ich stronę jakiś gest, podziękowanie czy aluzję. Zdecydowanie wolał kontakt ze środka sceny lub gdy szedł po wybiegu – w świetle jupiterów. Tu mógł użyć swego ciała, prezencji i głosu jako środków komunikacji. Na scenie Fred był nieprzewidywalny. Czasem znienacka pytał ludzi siedzących w pierwszych rzędach, czy mają jakieś specjalne życzenia.

Pewnego razu ktoś w odpowiedzi poprosił o jakiś stary numer Queen, którego zespół nigdy nie wykonywał na koncertach.

– To mamy zagrać? Ha! Chyba śnisz! – odparował Fred wysokim, piskliwym, egzaltowanym głosem, po czym odrzucił głowę w tył i odwrócił się na pięcie.

„Chyba śnisz!” – to hasło przewijało się podczas wielu tras koncertowych zespołu. Zresztą nie tylko podczas tras. Tymczasem przy fortepianie podawałem Fredowi kolejny gorący napój na podrażnione gardło.

– Jak nam idzie? Jak to wszystko brzmi?

– Dobrze, Fred. Idzie bardzo dobrze.

– To dobrze. Tak powinno być.

Czasami niestety reakcje publiczności nie przypominały tych, jakich się spodziewaliśmy. Wtedy Fred starał się jeszcze bardziej, by zjednać sobie ludzi. Tak na przykład było na pierwszym koncercie Queen w Madrycie w 1979 roku. Wszyscy spodziewali się gorąco krwistej, spontanicznej latynoskiej publiczności. Tymczasem nie. Po każdej piosence brawa szybko cichły. Podkurzony Fred spróbował więc nawiązać kontakt w inny sposób. Przeszedł do samego końca wybiegu i zaczął wznosić toasty w stronę tłumu swoją lampką od szampana (wypełnioną miejscową wodą), rzucając kilka fraz, które znał po hiszpańsku. Kiedy i to nie zadziało, oblał pierwsze rzędy wodą, wrzeszcząc:

– A macie! Za to, że jesteście tacy hiszpańscy!

Następnie dał znak inżynierowi dźwięku siedzącemu pośrodku uspiętej widowni i wrzasnął:

– Daj głos na maksa!

Głośniki ryknęły, przekazując efekt ciężkiej pracy Freda oraz reszty zespołu próbującego rozgrzać hiszpańską publiczność. Zadziało i od tej chwili występ potoczył się tak jak trzeba. Fred zawsze dawał przykład innym członkom Queen. Wracając do fortepianu wśród braw i okrzyków po tym, jak wreszcie zdobył serca ludzi, walnął pięścią w klapę instrumentu, wydobywając z niego głuchy odgłos, i wrzasnął na całe gardło:

– I tak to się (kurwa) robi! – wyrażając uznanie dla własnego ogromnego talentu i oszałamiającej osobowości.

– Już w porządku?

– Tak, tak, ale każ Brianowi grać ciszej, bo sam, kurwa, nie słyszę, co śpiewam!

Żeby jeszcze wiedział, jak można zmusić rockowego gitarzystę, by grał ciszej lub wolniej.

Dać mu nuty. W prześmiewczym dokumencie o fikcyjnym rockowym zespole *Oto Spinal Tap* heavymetalowy gitarzy-

sta z dumą prezentuje swój wzmacniacz oraz jego zakres głośności dochodzący do 11 zamiast standardowych 10. Taki mały bonusik, jeśli chcesz czegoś więcej. Wzmacniacz Briana Maya miał na skali 12 i pół. On zawsze chciał czegoś więcej...

Więc co zrobiliśmy? Pogłościliśmy wszystkich pozostałych.

QUEEN NA SCENIE TO BYŁO OGŁUSZAJĄCE PRZEŻYCIE.

Czy ja powiedziałem, że Queen na scenie to ogłuszające przeżycie? Moje uszy są tego najlepszym dowodem. Podczas badania słuchu kilka lat temu zapytano mnie, czy kiedykolwiek pracowałem w hałaśliwych warunkach. Cóż, na starość przyjdzie mi chyba sprzedać kilka pamfletów, by usłużyć na odpowiednio silny aparat słuchowy.

Podczas wyjątkowo udanych koncertów, na których Queen po prostu „dawali czadu”, pojawiały się tak niesamowite wibracje i dudnienie, że nawet ekipa techniczna czuła się częścią zespołu. Ogólnie rzecz ujmując, na scenie dźwięk, który do ciebie docierał, zależał od tego, gdzie stałeś. Nie słyszało się wymieszanego efektu końcowego, który dochodził do ludzi przed sceną, ale głównie to, co akurat dobiegało z najbliższego odsłuchu. Najlepsze wydawały się boki sceny, bo tam dźwięk był już dość wymieszany, w odróżnieniu od dość specyficznego miejsca tuż za perkusją. Tam słyszało się odgłos walenia w bębny wzmocniony odsłuchem oraz echo wielokrotnie odbite od tylnej ściany lub dachu nad sceną.

Za „metą” sceny, gdzie nie ustawiono sprzętu, można było siedzieć z zamkniętymi oczami i nadal czuć tę energię, znaleźć się pod ostrzałem wrażeń zmysłowych. Smród rozpalonych reflektorów, gorący elektryczny zapach bijący od drżących wzmacniaczy i gryzący smak dymu i kurzu. Do tego wibracje dochodzące z głośników i dudnienie rozsadzające klatkę piersiową, gdy Roger walił w „centrałę”. Wszystko to było bardzo

namacalne – ostre krawędzie i zaokrąglone rogi skrzyń transportowych, gruby spłot wykładziny na scenie, chłód lodu w pojemnikach na napoje, gładkie i zmysłowe kształty gitar oraz smród palonej gumy, który czułem, zwijając kabel od mikrofonu Freda. Na scenie dobrze było unikać stania za perkusją, gdy Roger energicznie odrzucał głowę w tył. Zazwyczaj wtedy pluł w powietrze, oczyszczając w ten sposób płuca ze zmęczenia oraz papierosów Marlboro. Biedny jego techniczny, który musiał na drugi dzień wycierać talerze...

Mniej więcej do połowy pierwszego seta zespół grał stare kawałki i utwory z nowej płyty. Potem następowała seria solówek. Fred śpiewał i wykrzykiwał ze sceny wokalizy, oczekując, że publiczność będzie mu wtórować. W ten sposób udowadniał swój kunszt sceniczny i pokazywał, że może zawładnąć tysiącami ludzi za pomocą głosu i charyzmy. Zazwyczaj elementem występu było też krótkie (całe szczęście) solo na perkusji, podczas którego z Rogera wyłąził Zwierrzak znany z Muppetów. Odbываło się też dłuższe solo na gitarze, które czasem działało... (Byłem jeszcze młody, gdy Brian zaczynał grać solówki...).

Czas na przerwę. Roger schodził z podestu do Domku dla Lalek, gdzie szukał wytchnienia, czegoś do picia i choćby odrobiny tlenu. Fred też tam odpoczywał. Zdejmował koszulę, wycierał ręcznikiem pot i zakładał nowy strój. Pił coś dla orzeźwienia i ssał pastylkę na gardło. John nie grał solówek (solo na gitarze basowej jest gorsze tylko od solo na bębnach), więc wychodził za głośniki na szybkiego papierosa, którego mu odpalałem, przy okazji po drodze rzucał orzeszkami w zatopionego w swej solówce Briana.

W dalszej kolejności następował mały przerywnik akustyczny: na widowni atmosfera robiła się luźna niczym w miejscowym pubie. Czasem Roger wychodził, by zagrać coś na tamburynie lub bębnie

i zaśpiewać. Była to jedyna okazja dla fanów, by zobaczyć RMT (Rogera Meddowsa Taylora) z bliska – nie licząc serii ukłonów po koncercie. Niestety, on swoich wielbicieli nie widział. Roger miał wadę wzroku i musiał nosić soczewki kontaktowe. W 1978 roku, podczas nagrywania jakiegoś bluesowego kawałka rodem z Nowego Orleanu w studiu nagraniowym w Montreux, zyskał przydomek Ślepy Melon Taylor. Roger miał wiele przezwisk. Najbardziej znanym było Rainbow Man,³ bowiem spośród wszystkich członków zespołu Queen to Roger zwracał największą uwagę na modę. Ciągłe kupował ciuchy, zwykle w jaskrawych kolorach, które łączył w zaskakujący sposób (spokojnie mógł ubiegać się o główną rolę w musicalu *Józef i cudowny płaszcz snów w technikolorze*).

Spośród przezwisk innych członków zespołu wymienię zaledwie kilka:

Freddie miał przezwisko Kermit – na cześć Żaby z Muppetów. Zasłużył na ten przydomek w roku 1977, gdy przeżywał swój „baletowy” okres i skakał po scenie w białym obcisłym trykocie, który w zielonej poświacie reflektorów uwydatniał gibkość jego ciała, zwłaszcza gdy siadał na schodach ustawionych na scenie. Czyżby „W pół drogi po schodach”?⁴ Tak na marginesie, oczywiście nikt się tak do niego nie zwracał. Słynny tygodnik muzyczny *NME*⁵ opatrzył jeden z wywiadów z Fredem z tego okresu nagłówkiem: „CZY ON SIĘ WYGŁUPIA?”. Jak się zapewne domyślicie, nie zachwyciło go to. Tak wyglądał początek długiego i skomplikowanego związku Freda z prasą.

Ekipa techniczna najczęściej mówiła do niego po prostu Fred, ale gdy dawał

nam wyjątkowo w kość, nazywaliśmy go The Goofy Toothed Rascal.⁶ A jeśli był wyjątkowo upierdliwy, leciały wszelkiej maści wyzwiska, w tym Horsey.⁷ Nie chodziło wcale o jego zęby, ale o miłość do wielkiego rosyjskiego baletmistrza polskiego pochodzenia, Wacława Niżyńskiego.

– Do kogo? – pytali członkowie zespołu. A co, nie wygrał czasem kilku wyścigów konnych?

Przygotowując występy na żywo, Fred inspirował się kostiumami Wacława, zwłaszcza jego biało-czarnymi wzorzystymi trykotami. Mary Austin, wieloletnia dziewczyna Freda (sama zawsze mówiła do niego *Freddie*), gdy jeszcze mieszkali razem w 1977 roku, sprezentowała mu wielki album o Niżyńskim z dedykacją: „Dla prawdziwego artysty, którym jesteś”.

Do tego oczywiście, podobnie jak Fred, koń wyścigowy o imieniu Niżyński był czempionem, zdobywcą wielu nagród.

Brian miał przezwisko Percy – po Percym Throwerze, brytyjskim ogrodniku, gospodarzu programu telewizyjnego. Brian uwielbiał przyrodę i prace w ogrodzie. Kiedyś w roku 1976 przywiozłem do jego domu w Londynie jakiś sprzęt. Był już późny wieczór, a drzwi otworzył mi Brian w potarganych ciuchach, z latarką w ręce oraz gałązkami i liśćmi wplątany mi w bujną grzywę. Właśnie zajmował się pielęgnacją swoich ukochanych roślinek. A gdy obronił pracę z zakresu astronomii podczerwonej, od razu zyskał przezwisko The Infrared Gardener.⁸

Na Johna mówiliśmy Birdman⁹ lub Deaky (wiadomo dlaczego). Podczas trasy po Stanach w 1978 roku miał krótko

³ Dosłownie: człowiek-tęcza – przyp. tłum.

⁴ Aluzja do wiersza A. Milnego wykonywanego jako piosenka przez siedzącego na schodach Kermita w programie The Muppet Show – przyp. tłum.

⁵ New Musical Express – przyp. tłum.

⁶ Dosłownie: lajdak o zębach jak pies Go ofy – przyp. tłum.

⁷ Konik – przyp. tłum.

⁸ Podczerwony Ogródnik – przyp. tłum.

⁹ Ptasznik – przyp. tłum.

ścięte włosy i bardzo przypominał Ptasznika z filmu *Ptasznik z Alcatraz*. Lubił ten przydomek, a podczas jednego z bisów założył nawet więzienny pasiak, który dostał od ekipy.

Gejowska część ekipy miała swoje własne przezwiska w postaci damskich imion nadawanych męskiej świcie zespołu i innym „znajomkom”. Używali też żeńskich końcówek i zaimków, zwracając się do nich.

Drugi zestaw przezwisk obowiązujących w Queen:

Freddie Mercury: Melina (Melina Mercouri – grecka gwiazda filmowa)

Brian May: Maggie (Maggie May – tytuł piosenki Roda Stewarta)

Roger Taylor: Elizabeth (aktorka Elizabeth Taylor)

John Deacon: Belisha (Belisha Beacon...?)¹⁰

Na mnie mówili Helen. Nie pytajcie dlaczego.

Punktem kulminacyjnym przerwania akustycznego było wykonanie przez Freda i Briana uproszczonej wersji piosenki *Love of My Life*. Następnie nadchodził czas na włączenie publiczności do gry i wspólne śpiewanie, czyli ogólnie jeden z lepszych momentów koncertu. Prawdę mówiąc, nie trudno na trasie o cynizm i zbławowanie w stosunku do fanów, bo po jakimś czasie poczucie ciągłego obłąkania daje się wszystkim we znaki. Ale z drugiej strony widok ponad stu trzydziestu tysięcy ludzi zgromadzonych na stadionie, bezbłędnie śpiewających piosenkę w obcym dla siebie języku, jest doświadczeniem zupełnie wyjątkowym. Może to, co powiem, brzmi banalnie, ale muzyka naprawdę nie zna granic.

Tymczasem koncert z wielką energią wchodzi w ostatnią fazę – fazę wielkich hitów, jak *I Want to Break Free*, czy rocko-

wych numerów idealnie nadających się do trzepania głową, jak *Hammer to Fall*, oraz tych piosenek, przy których cała widownia klaszcze, jak *Radio Ga Ga*. Próbując *Ga-Gę* przed występami na żywo, Fred zwykle zamieniał słowo „radio” na rymujące się z nim „fellatio”, na co cały zespół reagował salwami śmiechu. Niestety, publiczności nigdy nie dane było posłuchać tej improwizacji. Fred lubił zaskakiwać i prowokować, ale przede wszystkim kochał występować, zwłaszcza na wysokim poziomie.

Tylko raz zdarzyło się, że poczułem się naprawdę rozzarowany występem Freda. W moim przekonaniu Fred był bowiem absolutnym profesjonalistą. Miało to miejsce podczas jedyne go koncertu, który grupa dała w Nowej Zelandii, w mieście Auckland na stadionie Mount Smart. Nowa Zelandia to piękny kraj, ale nie jest to raczej wymarzone miejsce na trasy dla rockowych zespołów, ze względu na niedostatek barów, narkotyków i rozwiązłych kobiet. W związku z tym wymyśliliśmy, że władze Nowej Zelandii powinny na lotniskach umieścić następujące tabliczki: Prosimy zdeponować genitalia tutaj, nie będą państwu potrzebne podczas pobytu u nas. No, chyba że gustują państwo w owcach. Do wyboru do koloru.

Fred wyszedł na scenę, zanim poszła taśma z intro, spóźniony i zauważalnie pijany. Nuda czy złe towarzystwo? Jedno i drugie. Spóźnił się przez Tony’ego Williamsa (zwanego też Mr Hyde), naszego garderobianego, który ubrał Freda w spodnie tyłem do przodu. Fred, niestety, zauważył to dopiero, gdy pokonywał spory odcinek drogi między garderobą a sceną. Tony sam był jak zwykle pijany. Często miewał drgawki i prosił kogoś z nas: „Kochaniutki, pomógłbyś mi nawlec nitkę?”. Cudowny człowiek, z którego po pijaku faktycznie wychodził Mr Hyde. Wówczas bycie jego przyjacielem wyglądało jak praca na pełny etat.

¹⁰ Nazwa pomarańczowo-żółtego klosza latarni ulicznych, popularnego w krajach anglosaskich – przyp. tłum.

Od początku koncertu Fred chichotał i zapominał słowa piosenek, nie nadążał za muzyką i nawet pytał mnie, które piosenki ma grać i jak one szły! Występ nie był jednak katastrofą i część piosenek całkiem się udała, ale Fred czasem tracił wątek i reszta zespołu na tym cierpiała. Na bis zespół zagrał przebieg Elvisa – *Jailhouse Rock*, a do jego wykonania zaproszono na scenę Tony'ego. Nie tego pijanego z garderoby, marzącego o wspólnym występie, tylko Tony'ego Haddleya, wokalistę grupy Spandau Ballet, który miał właśnie przerwę we własnej trasie koncertowej. Tony był zupełnie bezpretensjonalną osobą, ale nie znał słów piosenki! Widzieliście kiedyś gwiazdę rocka, która nie zna słów piosenki *Jailhouse Rock* Elvisa Presleya?

Kucając u boku fortepianu Freda i podziwiając jego zaangażowanie w występ, czasem zdarzało mi się przenosić wzrok na publiczność i zastanawiać się nad życiem, śmiercią, sensem mojego istnienia. Co będę kiedyś robił? O co w ogóle chodzi w życiu? Co ja tutaj robię? Będąc przed trzydziestką, stałem się fortepianowym Mędrcelem. „Czy to jest prawdziwe życie? Czy to tylko Battersea?”¹¹ Przedostatnia linijka piosenki *Bohemian Rhapsody*: „Nic nie ma znaczenia...” bardzo silnie do mnie przemawiała, ponieważ często myślałem o jałowości całego tego rockowego życia i o tym, jak łatwo w trasie o zblazowanie. Ale utwór właśnie dobiegał końca i światła reflektorów oświetlały tysiące ludzi szalejących z zachwytem nad *Bo Rhaps*. Czyli jednak coś miało znaczenie dla tych ludzi i stanowiło istotną część ich życia w tym konkretnym momencie.

¹¹ *Trawestacja słów piosenki Bohemian Rhapsody*: „Is this the real life? Is this just fantasy? – Czy to jest prawdziwe życie? Czy tylko ułudą?” „Battersea” stanowiące rym do „fantasy” to dzielnica Londynu – przyp. tłum.

Gdy ja pogrążony byłem w myślach, zespół przechodził do kolejnej piosenki, wyrывая mnie z otchłani autorefleksji. Wracamy na zwykłe tory. Przy ostatniej piosence odpalałem serię sztucznych ogni rozmieszczonych wzdłuż sceny tuż przed widownią. Pokrywałem przy okazji sadzą kilku fotografów i ochroniarzy. Dobrze im tak. Jedynym członkiem zespołu, który zwracał się ze sceny do publiczności, był Brian, a i tak zrobił to tylko raz lub dwa razy w czasie występu. W połowie lat siedemdziesiątych przed finałową piosenką koncertu Brian zapowiedział: „Chcielibyśmy pożegnać was tak jak zawsze – piosenką *In the Lap of the Gods*”¹² (nasza wersja brzmiała: „Chcielibyśmy was pozostawić jak zawsze – znudzonych i domagających się zwrotu pieniędzy za bilety!”).

Zespół Queen schodził ze sceny w mroku przy wtórze gromkich oklasków, tupania i krzyków, pozostawiając nas w atmosferze napięcia i oczekiwania na bisy. Wszędzie dookoła widać było las płonących zapalek i zapalniczek migających w wilgotnym powietrzu wypełnionym dymem, pyłem ze sztucznych ogni i elektryzującą atmosferą. Ten obrazek tysięcy uniesionych zapalniczek stał się dość powszechny, ale pamiętam, że gdy zobaczyłem to po raz pierwszy w Stanach, chciałem zastygnąć i chłonąć ten widok aż do końca.

To co, jeszcze jeden?

Bis?

¹² *Dosłownie: u bogów na kolanach – przyp. tłum.*

muzyka zespołu QUEEN SYMFONICZNIE

w wykonaniu:
orkiestry Alla Vienna
i chóru Vivid Singers

21.03 oraz 25.03.2012 KRAKÓW

Teatr Łaźnia Nowa, os.Szkolne 25

10.04.2012 WARSZAWA

Teatr Palladium, ul.Złota 9

15.04.2012 POZNAŃ

Centrum Kongresowo-Dydaktyczne UMP, ul.Przybyszewskiego 37a

13.05.2012 WROCŁAW

Regionalne Centrum Turystyki Biznesowej Sala Audytoryjna, ul. Wystawowa 1

12.05.2012 GDAŃSK

Centrum Stocznia Gdańska, ul. Wałowa 27a

24.05.2012 ŁÓDŹ

Klub Wytwórnia, ul. Łąkowa 29

27.05.2012 TORUŃ

Aula UMK, ul. Gagarina 11

15.09.2012 ZABRZE

Dom Muzyki i Tańca, ul. De Gaulle'a 17



Sprzedał duszę **Diabłu**

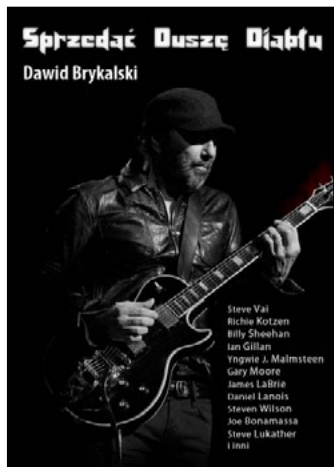
Jedno jest pewne. Nasz redakcyjny kolega wybornie dobiera sobie rozmówców. Okazują się oni zawsze nie tylko ciekawymi ludźmi, ale również wyjątkowo udanymi mówcami, potrafiącymi najbarwniej wyrazić swoje najgłębsze myśli. A to właśnie o nie Dawid dopytuje.

Sprzedać duszę diabłu to opowiadanie o pasjach, fascynacjach i rozterkach. Opowiadanie pisane przez samych bohaterów. Książkę tę można traktować również w kategorii niezwykłego źródła wiedzy na temat historii rocka. Roz-

mówcy Brykalskiego to przecież żywe ikony swojego gatunku: Steve Vai, Ian Gillan, Gary Moore, Steve Wilson, Joe Bonamassa i wielu innych. Dzięki tym rozmowom poznajemy ich z bliska, niemal osobiście. Przedstawione nam zostają takie ich oblicza, o które nawet byśmy sami nie dopytywali – a naprawdę warto je poznać.

Tadeusz Bisewski

Dzięki współpracy z redakcjami czasopism muzycznych udało mi się podczas kilku ostatnich lat spotkać parę osób, które swoją wiedzą, umiejętnościami i talentem potrafią zaimponować. Reprezentują różne style i gatunki muzyczne. Mają swoją prywatną filozofię i sposób na osiągnięcie artystycznego sukcesu. Mam nadzieję, że rozmowy, jakie z nimi przeprowadziłem, skłonię kogoś do zapoznania się z ich twórczością. A jeśli ktoś już zna któregoś (lub wszystkich) z wykonawców i jednak sięgnie po tę książkę, ufam, że znajdzie w tych wywiadach również coś interesującego i inspirującego.



Dawid Brykalski

Sprzedać duszę diabłu

Dawid Brykalski

Różnorodny **CIEŻAR** gatunkowy

Zbiór opowieści taksówkarskich *Taxi, taxi!* opracowany przez Magdalенę Zaleską i Dawida Brykalskiego to interesujący dokument pokazujący pewien wycinek naszego społeczeństwa.

Para autorów, podróżując tym środkiem lokomocji, przeżyła i usłyszała niejedno. Dla przyszłych epok taki zapis może stanowić cenne uzupełnienie informacji prasowych oraz dokumentów portretujących życie codzienne. Dla nas to po prostu lektura zmuszająca częstokroć do gorzkiej zadumy nad żalosną kondycją moralną i intelektualną naszego społeczeństwa. Plejada niekiedy świrowatych kierowców uchyla rąbka tajemnicy zawodu, opisując przypadki jeszcze bardziej zdumiewających pasażerów. Spisane historie są więc bardzo różnorodne. Mają różnorodny ciężar gatunkowy. Są zabawne, jak ta o dziewczynie puszczającej w aucie bąki (*Do przodu też dochodzi*), czy inna o osiedlowej „hrabinie” (*Hrabina*), której z butów wypadały wręcz snopki przysłowiowej słomy. Są tragikomiczne, jak ta o śwince morskiej (*Zwierzątka*), która skończyła w drodze do weterynarza akurat w aucie prowadzonym przez człowieka mocno uprzedzonego do zwierzątek. Są też takie, które przerażają cynizmem ich bohaterów i ich łajdackimi czynami (*Nie wydaję, Taka jest prawda*). Są wreszcie i takie, które odsłaniają prawdziwe ludzkie tragedie (*Chłopi, a raczej chłopki*). Podobnie jak historie i ich bohaterowie, tak różni byli opowiadający je taksówkarze, z którymi jeździli Dawid i Magda. Jednych za kółko rzuciły skompli-

kowane koleje losu (*Cisza na planie*), drudzy pracują na taryfie, bo dorabiają w innej branży (*Małżeństwo* – kierowca alfons), jeszcze inni po prostu normalnie pracują, bez żadnej filozofii (*Hitler wciąż nie kaputt*). Do wielu pojazdów strach wsiadać. Spotykamy w nich bowiem zwirowanego militarystę (przekomiczny Jenerał), byłego zomowca (jeden z najlepszych tekstów *Chwyty psychologiczne*), erotomana nudziarza (wspomniane *Małżeństwo*), miłośniczkę zjawisk paranormalnych (*Czuj duch*), byłego kierowcę karetki ratunkowej, który otarł się o słynną aferę „łowców skór” (przerażające *Szwagier dom postawił*).

Barwny ten korowód, jak kolory taksówek stojących na postoju.

Andrzej Pilipiuk



Dawid Brykalski
Magdalena Zaleska
Taxi, taxi!

Kiedy MROK pochlania...

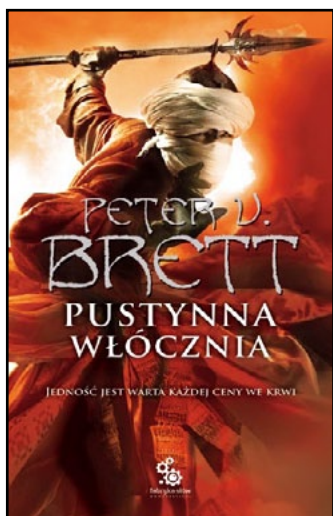
Pustynna włócznia Petera V. Bretta, to kontynuacja **Demonicznego Cyklu**. O pierwszej części, czyli **Malowanym człowieku**, pisałam w poprzednim numerze. To historia trzech postaci, Arlena, zwanego później Naznaczonym lub Wybawicielem, Leeshy i Rojera. Walczą z odwiecznym wrogiem swojego świata – demonami Otchłāńcami. W ich świecie ludzie zdołali odgrodzić się od demonów runami, które chronią ich nocami, gdy Otchłāńce powstają z ziemi tuż po zachodzie słońca. Runy jednak często zawodzą, a wtedy dla ludzi nie ma ratunku.

Aż do momentu gdy Arlen postanawia stawić czoła Otchłāńcom. Okazuje się, iż są w ich świecie ludzie, którzy nie poddają się nocnej władzy demonów. To mieszkańcy pustynnej Krasji, zwanej

inaczej Pustynną włócznią, którzy nocą walczą z Alagai, jak nazywają demony.

W **Malowanym człowieku** poznajemy Ahmanna Jardira, wodza Krasjan, do którego udaje się Arlen nie tyle po naukę, ile raczej by upewnić się, że można i warto walczyć z demonami. Arlen nie obawia się podróżować i odkrywa w jednym z zapomnianych pustynnych miast sławną włócznię Kajiego, którą według legendy Wybawiciel miał niegdyś zepchnąć Alagai na wieki do Otchłāni. Włócznia okazuje się cenna nie tylko dla Arlena, ale i dla samego Jardira. Podstępem odbiera ją Arlenowi, co powoduje późniejsze zmiany w życiu Naznaczonego.

Księga I **Pustynnej Włóczni** skupia się na postaci Ahmanna Jardira oraz w dużo bardziej szczegółowy sposób opisuje życie plemion Krasji. Brett, tworząc świat ludzi, nawiązał do dwóch modeli: tzw. modelu społeczeństwa zachodniego, odwołując się przy tym do fantastyki



Peter V. Brett

Pustynna włócznia

opartej na epoce średniowiecza, oraz do społeczeństwa wschodniego, generalnie arabskiego – Krasję bowiem opisuje niby bajkowy Marrakesz, pełen egzotycznych zapachów, kolorowych kobierców, pięknych kobiet. Jednocześnie jest w tym opisie coś z *Baśni tysiąca i jednej nocy*: doskonali wojownicy, dla których życie ma mniejszą wartość niż honor i wola Boga, nakazujące walkę z Alagai.

W zabiegu, jakim posłużył się Brett, widać jego fascynację kulturą arabską, którą zestawia z zupełnie odmienną cywilizacją Zachodu. W *Pustynnej Włócznie* wydaje się, że to właśnie Krasjanie są o krok od pokonania demonów, m.in. dzięki swej odwadze i żelaznemu kodeksowi honorowemu. Jednak nie należy się łądzić. Pod przykrywką ogłady kotłują się gorące namietności, które pisarz potrafi oddać z niezwykłą szczerością i równie szczegółowo co opisy krasjańskich (czy może arabskich) zwyczajów.

Księga II przenosi czytelnika z piasków pustyni w zalesione wzgórza północy. Krasjanie (a najbardziej sam Ahmann Jardir) postanawiają zjednoczyć wszystkich ludzi pod jedną włóczęgą i wspólnie walczyć z demonami. Okazuje się jednak, że Arlen, a także Leesha i Rojer zdołali już zainspirować swoich pobratymców i sami zaczynają się organizować w walce z Otchłāncami. Jardir znów staje oko w oko z Arlenem, zaś wiara w jednego Wybawiciela zostaje mocno zachwiana.

Zetknięcie się dwóch cywilizacji prowadzi do wielu konfliktów, w które wpłątani zostają wszyscy bohaterowie. Końcówka książki sprawia przy tym wrażenie, że wszystko, co do tej pory autor napisał, może się okazać zupełną zmyłką, a trzecia część *Demonicznego Cyklu*, która ma się ukazać jeszcze w tym roku, może być zaskoczeniem dla każdego fana.

Karolina Joisan

Profesjonalnie wydajemy książki, albumy, czasopisma.

WYDAMY CIĘ!

Outsourcing wydawniczy
Książki na cele charytatywne

www.ekwita.pl



Historia *kobiet*

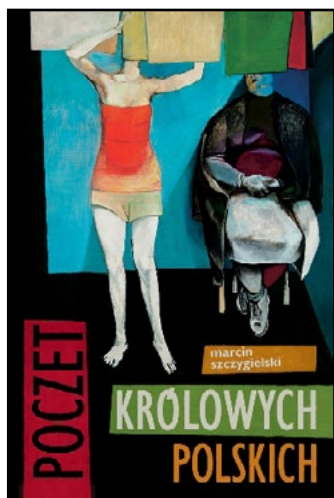
Na książki **Marcina Szczygielskiego** powinno oczekiwać się z nieślabnącym entuzjazmem. Jest to autor ponad dziesięciu powieści, zarówno dla starszych jak i dla nastolatków, w niebanalny sposób poruszających całkiem zwykłe sprawy. Choć niektórym mogą wydawać się kontrowersyjne ze względu na podejmowaną w Polsce tematykę homoseksualizmu, to dużo ważniejsza wydaje się zawarta w nich treść relacji międzyludzkich niż to, co i w jaki sposób ludzie robią pod kołdrą.

W opinii wielu krytyków, jeśli pisarz potrafi w subtelny a jednocześnie pociągający sposób pisać dla młodzieży, która jest odbiorcą niezwykle wymagającym, sprostą wyzwaniu pisania dla dorosłych. I tak jest w przypadku Szczygielskiego. Tworzy on wartkie opowieści, pełne humoru i dystansu do opisywanej rzeczywistości, a bohaterów obdarza zrozumieniem oraz

miłością, nawet jeśli są pełni wad i ułomności.

W swej najnowszej powieści *Poczet królowych polskich* Szczygielski wspina się na artystyczne wyżyny literatury. Komponuje dzieło oparte na kilku przeplatających się czasoprzestrzeniach, od przedwojennej Warszawy i Wilna, po czasy PRL-u oraz współczesne. Opisy żydowskich dzielnic stolicy, wileńskiej bohemy, środowiska reżyserów i aktorek należą do najbarwniejszych części książki. Wśród nich wyróżniają się fragmenty opisujące pracownię krawiecką Franciszki Wencel, która objawia się niczym skondensowana metafora dekadenceckich lat tuż przed wybuchem II wojny światowej. Szczygielski tak trafne stosuje określenia, że niemal widzi się udrapowania sukni a pod palcami czuje teksturę tkanin.

Źródeł historii opisaney w powieści należy szukać w fascynacji, jaką Szczygielski obdarzył przedwojenną aktorkę, Inę Benitę. Na kanwie życiorysu Benity tworzy historię Ity Zajtler, żydowskiej dziewczyny, która jest zmuszona od-



Marcin Szczygielski

Poczet królowych polskich

rzucić swoje korzenie i staje się kimś zupełnie innym, nie tylko zmieniając nazwisko. Pisarz charakteryzuje bohaterkę wielowymiarowo, poprzez częste przeskoki w czasie i spojrzenia innych osób, co pozwala zrozumieć życie Iny w szerszej perspektywie. Zwłaszcza że sama Benita była uwikłana w związek z niemieckim oficerem, z powodu żydowskiego pochodzenia trafiła na Pawiak, a zginęła prawdopodobnie podczas Powstania Warszawskiego w niejasnych okolicznościach. Szczygielski oddaje głos Inie, aby mogła opowiedzieć swoje dzieje.

Zupełnie inną bohaterką powieści jest Magda, kobieta bardzo współczesna, pracowniczka reklamy dużego magazynu zajmującego się poradami dla pań. Po nagłej śmierci matki otrzymuje w spadku olbrzymie pieniądze,

ale także tajemnicę, z którą musi się zmierzyć. Skomplikowane relacje, jakie łączyły ją z matką, prowadzą do tego, że z rezerwą odnosi się do rozwiązania zagadki swojej przeszłości, podejmując w pewnym sensie najbardziej konformistyczną decyzję swojego życia.

Kim są tytułowe królowe polskie? Kluczowe jest tu nazwisko Król. Spłot wydarzeń prowadzi do tego, że cztery główne postacie kobiece noszą to nazwisko, mimo iż tak naprawdę powinno należeć tylko do jednej z nich. Już ten szczegół powieści ukazuje stopień skomplikowania, ale i mistrzowskiego panowania nad kompozycją dzieła. Szczygielski stworzył bowiem najlepszą książkę w swoim dotychczasowym dorobku.

Karolina Joisan

Biblioteka MEDIÓW

Biblioteka przestaje być jedynie zbiorem książek, przestrzenią skupienia i ciszy. Chociaż miejsca tego typu nadal mają, i będą miały, swoich oddanych fanów, ceniących nieco zakurzoną atmosferę pomieszczeń wypełnionych starymi księgami. Jednak magnesem przyciągającym współczesnego czytelnika – zanurzonego w cyfrowym świecie – jest multimedialność, a tę znaleźć można w **bibliotece mediów**.

Lokalizacja w popularnej galerii handlowej i bardzo różnicowana oferta: wieczory autorskie, recitale i koncerty, przedstawienia teatralne, warsztaty, kluby dyskusyjne, koła zainteresowań i kawiarenki językowe – to zalety niedawno otwartej Mediateki Manhattan w Gdańsku. W jej zbiorach mieści się 40 tysięcy pozycji książkowych, a ponad-



to są audiobooki, e-booki, albumy muzyczne, filmy i komiksy. Jest także zbiór płyt analogowych, których opiekunem został Wojciech Mazolewski. Można ich posłuchać na miejscu, ze słuchawkami na uszach przejść się wśród półek z książkami. Karta biblioteczna stała się Kartą do Kultury. Dzięki niej zyskuje się nie tylko dostęp do zasobów Mediateki, ale także rabaty w trójmiejskich kinach, muzeach, teatrach czy kawiarniach.

To nowy wizerunek biblioteki, jej nowa jakość. Biblioteka jako miejsce spotkań i aktywności kulturalnej. Miejsce przyjazne dla każdego, stworzone przez ludzi z pasją, pragnących docierać z kulturą do szerokiego grona odbiorców.



Dwudniowe otwarcie gdańskiej Mediateki okraszone zostało licznymi spotkaniami autorskimi (Ewa Chotomska, Marcin Prokop i Szymon Hołownia, Andrzej Pilipiuk) i zabawami dla dzieci (teatrzyki kukiełkowe). Najmłodszy mogli ponadto pograć na instrumentach, do wyboru: pianino, gitara elektryczna i perkusja, lub... na konsoli do gier. Oczywiście na wielkim otwarciu atrakcje się nie zakończyły. Cyklicznie odbywają się spotkania Teatrzyku Molik, Dyskusyjne Kluby Książek dla dzieci i dorosłych oraz Dyskusyjny Klub Komiksu. Można pograć w szachy, gry miejskie (RPG lub LARP), a także spróbować sił w karaoke w specjalnie do tego przystosowanym kąciaku.

Mediateka Manhattan na pewno ożywi kulturalnie tę część Gdańska, tak jak podobne miejsca ożywiły inne miasta. Cieszy fakt rozwoju bibliotek w takim kierunku, bo bez podobnych zmian coraz trudniej byłoby tym instytucjom skutecznie promować kulturę.

Karolina Joisan



PREMIERY gier

Soulcalibur V



Bijatyki zawsze rządziły konsolami. Nie inaczej jest w przypadku piątej już odsłony znanej serii, pochodzącej wprost z Japonii.

Tym razem producenci starają się wnieść trochę nowości do skostniałego już gatunku. Zabieg ten sprowadził się do wymiany praktycznie połowy dostępnych postaci. Fani poprzednich części mogą kręcić nosem, również ze względu na fatalny tryb dla pojedynczego gracza. Opowiedziana historia jest drętwa i w wielu miejscach zagramowana. Konia z rzędem temu, kto bezproblemowo ogarnie wszystkie wątki.

Na szczęście rozgrywka wieloosobowa to zupełnie inna bajka. Rozbu-

dowany edytor postaci pozwoli na stworzenie wojownika, przed którym klękną wszyscy gracze. Bo jakże nie oddać pokłonu muskularnemu Norowi w różowej pizamie?

Kingdoms of Amalur: Reckoning



Reckoning jeszcze przed premierą kreowany był jako gra znakomita. Za scenariusz odpowiedzialny jest znany i lubiany w kręgach fantasy R.A. Salvatore, a nad kodem źródłowym czuwał Ken Rolston – główny programista takiego hitu jak *The Elder Scrolls IV: Oblivion*.

Obecność tych panów czuć w samej grze – wykreowany świat urzeka od początku do końca, a wykonanie nie pozostawia niczego do życzenia. Rec-koning to także jedyna pozycja, w której główny gracz powstaje z martwych na samym początku przygody.

Pomimo pewnej liniowości i po-zornych wyborów moralnych oferuje konkretną rozrywkę na długie godziny. W oczekiwaniu na bardziej poważne cRPG – jak znalazł.

Skala ocen:

Balls of steel

Headshot!

I live, again

Let's Rock

War. War never changes

*Przed wyruszeniem w drogę
należy zebrać drużynę*

Finish him!

Bomb has been planted

Blood for the Blood God!

**

Game Over

Agrar Simulator 2012

✚✚



Pomysłów na biznes można mieć mnóstwo. Jeden bardziej opłacalny, drugi mniej. Jak się okazuje, rolnictwo to dochodowy interes, a bycie rolnikiem nie jest takie złe.

Jeszcze bardziej dochodowe jest tworzenie gier o rolnictwie. Nie posłużę się tu jednak słowem symulator, bo wybaczenie, ale ubliżałoby to całej masie innych, świetnych gier. Agrar Simulator rzuca się po prostu na fanów, a raczej ich pieniądze. Nie dodaje nic konkretnego, zmienia okładkę, aktualizuje maszyny rolnicze i wio do sklepów, ku chwale zysku. Cała reszta rodem z wydania z 2011 roku. Tylko że tam też nic ciekawego nie było...

Nie zmieniła się monotonna rozgrywka, nie zmienił się beznadziejny model finansowy, a grafika jak straszyla, tak straszy dalej. Pozycja obojętna dla masochistów ze skłonnościami do babrania się w fekaliach – dosłownie i w przenośni.

Shank 2



Shank 2 rozpoczyna się nad wyraz kiepsko. Dni pewnego dyktatora są policzone. Dogorywa on na swym łożu, nie chcąc pogodzić się z trudną rzeczywistością. Z tego też powodu porywa kolejne osoby, a przyświeca mu cel znalezienia odpowiedniego organu zastępczego.

Fabula jest kiepska i infantylna. Odnoszę wrażenie, że mocno inspirowano się tworem filmowym – druga część *Adrenaliny* się kłania. To nie koniec skojarzeń ze srebrnym ekranem – klimatem Shankowi niedaleko do *Maczety*.

Pokręcona, brutalna i genialna w swojej prostocie – tak pokrótce można scharakteryzować produkcję Klei Entertainment. I coś w tym jest. Coś, co nie pozwala odejść od ekranu, aż do ujrzenia napisów końcowych. Zupełnie jak w filmie Rodrigueza.

Crusader Kings 2

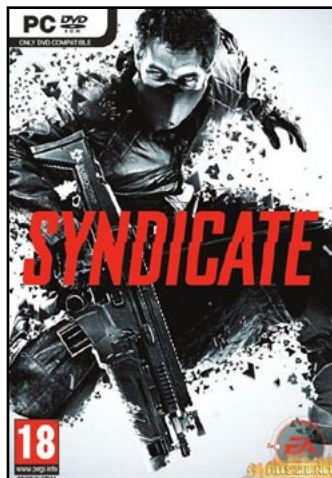


Jedna z nielicznych albo i jedyna strategia stawiająca na interakcję z innymi osobami.

Crusader Kings 2 to, kolokwialnie rzecz ujmując, symulator średniowiecza pełną gębą. Wcielamy się w postać władcy wybranego przez nas państwa, by zrealizować wymyślone przez siebie cele. Że nudne? Że już było? Nie w takim wykonaniu. Paradox Interactive postarało się, by ich produkcja była wyjątkowa pod każdym względem. I taka właśnie jest! Złożony system militarno-polityczno-ekonomiczno-społeczny zapewnia rozrywkę na setki godzin.

Miłośnicy strategii z prawdziwego zdarzenia powinni zainteresować się tym tytułem. Wszak księstwo Transylwanii nie stanie się potęgą bez naszej pomocy.

Syndicate 2012



Powiadają, że truchła nie powinno się ruszać, gdyż może śmierdzieć. Starbreeze Studios najwyraźniej twierdzi inaczej. Na warsztat wzięli legendę i przerobili ją na... strzelankę.

Za czyn świętokradztwa należy się najwyższa kara – tysiąckrotne przesłuchanie wszystkich albumów Skrillexa. Problem w tym, że ten ostatni w grze również występuje. A gdyby tak odciąć się od przeszłości i potraktować Syndicate jako nowe dzieło? Wtedy okazuje się, że strzela się przyjemnie, a futurystyczne naleciałości idealnie wpasowują się w ogólny koncept.

W taki też sposób polecam podejść do tytułu – innowacja, acz nie profanacja.

Final Fantasy XIII-2



Co tu dużo mówić, pierwsza część „trzynastki” choć momentami niezła, denerwowała głównie chaotyczną fabułą i totalnie liniowymi etapami.

Kontynuacja wyrzuca do kosza mierny koncept i atakuje ze zdwojoną siłą. Tylko czy skutecznie? Z jednej strony zauważalny jest postęp, z drugiej jednak boli totalnie nierówna fabuła, naszpikowana irytującymi bohaterami. Japoński deweloper najwyraźniej chciał przypodobać się większej liczbie graczy, tworząc grę przystępną dla przeciętnego zjadacza chleba. Jak widać, łapanie dwóch srok za ogon nie zawsze się opłaca. Zamiast pozostać przy starych fanach, zachciało się nowych serc. A wyszło jak zawsze – średnio.

Mass Effect 3



Bezsprzecznie stwierdzam, że jest to najważniejsza premiera w całym zestawieniu.

Zwieńczenie epickiej sagi, ostateczne rozwiązanie kwestii Żniwiarzy – nazywajcie, jak chcecie. *Mass Effect 3* zachwyca sposobem, w jaki przekazuje kolejne wydarzenia. Iście filmowa narracja, akcja niezwalniająca ani na minutę i momenty, które autentycznie chwytają na serce – żadna inna gra tego nie posiada. Gdyby fabułę pokroić na mniejsze części, starczyłoby na kilka emocjonujących filmów akcji. I żaden z nich nie charakteryzowałby się słabą jakością. Space opera, jaką musi znać każdy szanujący się gracz!



SSX

Obrodziło nam reinkarnacjami w ostatnim czasie. Po *Syndicate* przyszedł czas na *SSX*. W tym jednak przypadku podstawowe założenia gry zostały zachowane.

Białe szaleństwo na stokach prezentuje się tu nad wyraz okazale. Wykorzystanie nowoczesnych technologii przekłada się na niesamowicie szaloną, wciągającą i efektowną jazdę bez trzymanki – w dodatku po oblodzonych stokach. Dostęp do praktycznie każdego szczytu naszego globu robi wrażenie. Tym bardziej że miejscówki zostały odtworzone z niesamowitym pietyzmem na podstawie zdjęć NASA. Aby było jeszcze lepiej, całość została zintegrowana w sieć znajomych, bijących nasze rekordy. Chyba nie będziecie gorsi od nich?

Opracował: Wojciech Onysków

Polski **cyberpunk** *w lekko japońskim sosie*

Hard Reset szokował od samego początku. Najpierw dość specyficznym modelem marketingowym, ujawniającym produkcję dopiero w końcowej fazie (co wobec dzisiejszych standardów jest zagranieniem co najmniej nietypowym), a później brakiem trybu wieloosobowego przy jednoczesnej wyłączności dla komputerów osobistych. Mimo wszystko warszawskie dzieło staje w szranki z zagranicznymi tytułami z podniesioną głową. Czy zejdzie z pola bitwy jako zwycięzca?

Braku doświadczenia chłopakom z Flying Wild Hog odmówić nie można. Ekipę tworzą byli pracownicy takich gigantów, jak City Interactive, CD Project RED oraz najistotniejsze w tym przypadku – People Can Fly, odpowiedzialne za *Painkillera* i *Bulletstorm*. Przekłada się to na jakość samej gry, która jest co najmniej dobra.

Warstwę fabularną można właściwie streścić w dwóch zdaniach i przejść do konkretów, jednak z redaktorskiego obowiązku rozłożę ją na czynniki pierwsze. *Hard Reset* przenosi nas kilkaset lat do przodu, w czasy zaawansowanej sztucznej inteligencji. Zaawansowanej na tyle, iż potrafi zbuntować się przeciwko jej twórcy. Ludzkość staje na granicy własnego istnienia – większość organizmów żywych i tak istnieje już tylko w postaci przetworzonych danych, przechowywanych w Sanktuarium. Roboty dążą do zniszczenia owych informacji i totalnego wyeliminowania człowieka z globu ziemskiego. My – jako gracze – wcielamy się w postać majora Fletchera, który jest członkiem specjalnej jednostki odpowiedzialnej za bezpieczeństwo Sanktuarium. Oczywiście jak to w polskich produkcjach bywa, Fletcher jest żołnierzem obdarzonym niezwykłymi umiejętnościami i dużą skłonnością do alkoholu, a konkret-



Hard Reset

niej – do wódki. Stereotyp w wydaniu podwójnym został zatem zachowany – mamy pijącego bohatera, który musi ruszyć zadek i zbawić świat. Jakby ktoś inny tego nie mógł zrobić...

Hard Reset jest utrzymany w klimacie cyberpunku. Lokacje sprawiają wrażenie sterylnych – dookoła dominują odcienie szarości. Te są jednak świetnie uzupełniane przez kontrastujące z nimi zielono-czerwono-żółte paczki, służące jako apteczki i amunicja. Dzięki temu świat przedstawiony nie przytłacza swoim ciężkim klimatem i pozwala cieszyć się z radosnej rozwałki. Kolejne aspekty fabuły (tak, takowe istnieją) przedstawiane są w postaci niesamowicie klimatycznego komiksu, dzięki czemu Hard Reset mocno kojarzy się z dziełami pochodzącymi z Kraju Kwitnącej Wiśni. Brakuje tu jedynie wielkich piersi i żelu na włosach. Będąc jednak bardziej poważnym – cut-scenki w postaci komiksu o ile wyglądają nieźle, o tyle w roli narratora sprawują się beznadziejnie. Kolejne slajdy są chaotyczne i czasami trudno wyłapać z nich kto, kogo i dlaczego. Na szczęście fabuła jest jedynie pretekstem do samej rozgrywki i ze spokojem można ją całkowicie pominąć.

Rozgrywka właściwa prezentuje się natomiast wyśmienicie.

Hard Reset nawiązuje do złotych czasów gier komputerowych, rzucając nas w środek cybernetycznego piekła i nie odpuszczając ani na moment. Deweloperzy wykorzystali stary patent, który już dawno odszedł do lamusa – chodzi tu oczywiście o apteczki odnawiające zdrowie.

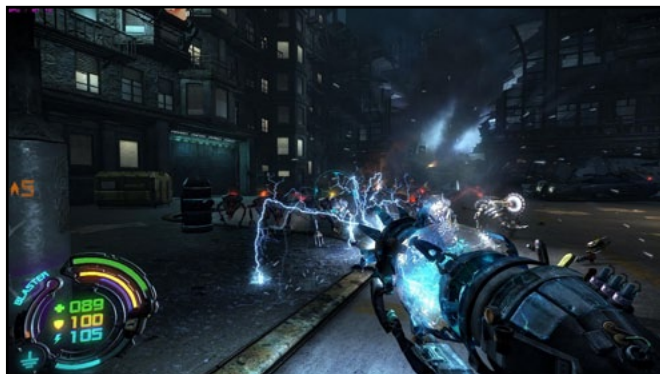
Regeneruje się jedynie osłona, o przeżyciu ostrzału za murkiem w celu odzyskania wigoru możemy zatem zapomnieć. Oldschool przejawia się także w konstrukcji poszczególnych poziomów. Te składają się głównie z zamkniętych pomieszczeń, w których nie trudno o śmierć.

Ta przychodzi szybko i bez ostrzeżenia. No dobra, może ostrzeżenie w postaci kilku wybuchów jest, ale i tak nie zmienia to sedna sprawy. Przez większość czasu jesteśmy zmuszeni do biegania na wstecznym i prucia do wszystkiego, co się rusza – przed nami, rzecz jasna. Przypominają się zatem stare czasy, gdy krycie za osłonami zastąpione było ciągłym przemieszczaniem. Także pod względem trudności nie jest współcześnie – już drugi z pięciu dostępnych wariantów potrafi nieźle dać w kość i zmusić gracza do wielokrotnego odpalania danego poziomu. Starsi gracze z pewnością to docenią, młodszy mogą w napływie frustracji zniszczyć myszkę tudzież cokolwiek innego w ich otoczeniu.

Destrukcyjność otoczenia dokonujemy za pomocą dwóch broni. Tylko dwóch?! – zakrzykniecie. Ano dwóch, jednak całkowicie modyfikowalnych, co w rezultacie daje nam pokaźną sumę dzie-



sięciu pukawek. Giwery zostały podzielone na dwie grupy. Jedną stanowi oręż wykorzystujący klasyczną amunicję, druga czerpie natomiast plasmę. Pomysł niczego sobie, zważając na fakt, iż kolejne modyfikacje musimy najpierw



odblokować używając specjalnej waluty, ochrzczonej jako NANO. Tę ostatnią zdobywamy, niszcząc nacierające fale przeciwników, bądź po prostu podnosząc je z ziemi (paczki zostały rozmieszczone w przeróżnych miejscach, nawiązując do „starszkołnych” secret place). Takim oto sposobem jesteśmy w stanie przekształcić zwykły karabinek w strzelbę, a nawet wyrzutnię raket, naprowadzaną za pomocą specjalnego sensora. Każda broń ma alternatywny tryb strzału, który oczywiście należy najpierw odblokować. Takie rozwiązanie wymusza na graczku pewne decyzje. Ja przykładowo totalnie olałem broń plasmową, skupiając się na konkretnych eksplozjach wywoływanych przez granatniki i wyrzutnie raket.

Efekty specjalne towarzyszące rozgrywce zasługują na największą pochwałę. Rzekłbym nawet, iż stanowią one główny gwóźdź programu i tylko dla nich powinno się grać w *Hard Reset*. Jako że naszymi przeciwnikami są same

roboty, każdy z nich może eksplodować. W połączeniu ze skrzętnie porozstawianymi łatwopalnymi beczkami i masą nacierającego tałatajstwa dostajemy widok, który na długo zapada w pamięci. Czasami wystarczy jeden celny

wystrzał, by obserwować fajerwerki trwające nawet kilkanaście sekund. Niestety, podczas takiej cybernetycznej aranżacji znacząco spada płynność gry, co ma niebagatelne znaczenie podczas strzelania. Nie jest to jakoś często występujący problem, ale mimo wszystko zdarza się i przeszkadza.

O ile kwestie graficzne bronią się doskonale,

o tyle oprawa dźwiękowa nie spełnia wymagań. Dobry cyberpunk musi posiadać wprost proporcjonalny jakościowo soundtrack. *Hard Reset* męczy nas dwoma tudzież trzema słabymi motywami, które w dodatku uaktywniają się jedynie podczas walki i milkną w momencie zabicia ostatniego przeciwnika. Może to i lepiej? Nie zniósłbym ciągłego rzępolenia i nagminnego wykorzystywania dwóch dźwięków naprzemiennie.

Hard Reset jest tytułem dobrym i tylko dobrym. Rozgrywki starcza średnio na sześć godzin – w sam raz, żeby nacieszyć się wszechobecną rozwalką i w sam raz, żeby zbytnio się nie znudzić. Mimo wszystko nie ma tu elementu, który jakością wykonania wywoływałby samoistny „szczękopad”. No może poza eksplozjami. *Hard Reset* to rzemieślnicze dzieło, które warto nabyć... podczas jednej z licznych wyprzedaży.

Wojciech Onyszków

Ciemność, widzę ciemność

Jackie Estacado, młodzieniec z mroczną przeszłością, gościł już w czytnikach konsol i jest doskonale znany ich użytkownikom. Przy okazji premiery drugiej części ów jegomość postanowił zaszczyścić także pecetowców. Czy wydanie kontynuacji na komputerach osobistych było dobrym posunięciem? Czy aby na pewno historia tu przedstawiona będzie zrozumiała dla większości graczy, a tytułowa ciemność zawładnie naszymi sercami? Tak, zdecydowanie tak! I jeszcze raz tak!

Fabula *The Darkness II* jest bezpośrednią kontynuacją produkcji wydanej w 2007 roku na konsolach obecnej generacji. Jackie Estacado, po utracie swojej narzeczonej, całkowicie poświęcił się rodzinnemu biznesowi, który najłatwiej scharakteryzować jako mafię w najczystszej postaci. Dzięki swoim zdolnościom zdobył całkowitą władzę w strukturach i jakże ważny w tym biznesie szacunek. Podczas jednej z rutynowych wizyt w restauracji rozpętuje się prawdziwe piekło. Krew bryzga na wszystkie strony, a poszatkwane ciała z głuchym łoskotem rozbijają się o podłogę. Napastnikom chodzi tylko i wyłącznie o Jackiego – nikt inny się nie liczy. Gdy prawie udaje im się zrealizować cel, do akcji wkracza tytułowa ciemność, zamieszkująca w ciele naszego protagonisty. Pomaga mu wstać na nogi, wybić przeciwników i pożywić się ich sercami. Mroczna przeszłość powróciła i na nowo zawładnęła głównym bohaterem.

Na pierwszy rzut oka fabuła może wydawać się pokręcona i zagmatwana. Dla graczy niemających styczności z pierwszą częścią serii przygotowano specjalne przypomnienie w postaci znośnego dla oka przerywnika filmowego. Dzięki temu kolejne wydarzenia serwowane podczas burzliwej przygody będą jasne i czytelne. Całość od początku do końca kręci się wokół tytułowej ciemności, która zamieszkuje



The Darkness II

we wnętrzu Jackiego. Kolejne poziomy przybliżają nas do sedna sprawy i ostatecznego rozwiązania kwestii. W międzyczasie przeplatają się tu wątki wyjęte wprost z mafijnych filmów, z szacunkiem i wartościami rodzinnymi na czele. Dostajemy zatem mroczną opowieść przyprawioną szczyptą sycylijskiej mafii, rodem z *Ojca Chrzestnego*. *The Darkness II* wyrwa się z ram gatunkowych, serwując nam rozbudowaną fabułę, której często brakuje w innych strzelankach.

Zadania w *The Darkness II* sprowadzają się zazwyczaj do wyrąbania całego poziomu przeciwników, by na koniec dotrzeć do fabularnego bossa. Forma ta w żadnym wypadku nie nudzi się po kilku godzinach. Wszystko za sprawą dość specyficznej rozgrywki, opierającej się na kontrolowaniu czterech broni jednocześnie. Dwie z nich stanowią standardowy asortyment, wykorzystywany podczas normalnej

wymiany ognia. Dwie kolejne to efekt działania mrocznej mocy. Z pleców Jackiego wyrasta para gadających macek, które bezpośrednio wykorzystujemy podczas walki. Nasz lewy przyjaciel przeznaczony jest do podnoszenia przedmiotów, miotania nimi, a nawet chwytania przeciwników. Prawy służy natomiast do bezpośredniej walki – przytrzymując odpowiedni przycisk, możemy pochłastać wrogów na kilka możliwych sposobów. Zdolności macek możemy łączyć, tworząc tym samym efektowne combosy. Co powiecie na rozerwanie przeciwnika na pół, zjedzenie jego serca bądź pozbawienie go głowy celnym rzutem uprzednio wyrwanym prętem? Możliwości eliminacji oponentów jest tu od groma, ogranicza nas jedynie własna kreatywność. Szczególnie spodobała mi się opcja wyrwania samochodowych drzwi i wykorzystania ich jako tarczy.



Zabijanie wrogów wzbogaca nas o specjalne punkty, które później wydajemy na udoskonalenie umiejętności. Im bardziej wymyślna śmierć, tym więcej waluty na naszym koncie. Możliwości rozwoju naszego protegowanego jest kilka. Drzewko umiejętności zostało podzielone na cztery gałęzie, oferujące między innymi udoskonalenie macek czy też zwiększenie szybkostrzelności broni konwencjonalnej.

The Darkness II zachwyca również niesamowitą oprawą graficzną. Twórcy zdecydowali się na wykorzystanie technologii cell-shadingu. Co to oznacza w praktyce? Komiksową scenerię okraszoną genialnym wręcz klimatem. Fabuła oraz ogólny, mroczny zarys idealnie wkomponowują się w charakter graficzny. Należy do tego dodać niezgorszą oprawę dźwiękową, by dostać dzieło na długo zapadające w pamięć.

Jak to jednak bywa, w beczce miodu znaleźć można również łyżkę dzieg-

ciu. Przeszkadza przede wszystkim konsolowy charakter produkcji. Żle rozlokowane punkty zapisu potrafią zdenerwować, szczególnie gdy jesteśmy zmuszeni po raz kolejny obejrzeć długą cutscenkę. Nie zachwyca również sterowanie postacią. Do jednoczesnego obsługiwanie czterech różnych ataków i klawiszów kierunkowych zdecydowanie lepiej nadaje się pad. Obłożenie klawiatury należy dostosować do własnych wymagań – to zaproponowane przez twórców jest po prostu niewygodne.

The Darkness II zachwyca zarówno świetnie zarysowaną fabułą, jak i znakomicie przemyślaną rozgrywką. Eks-terminacja przeciwników jest zmyślna i przyjemna, a obcowanie z ciemnością daje poczucie władzy przy jednoczesnym uczuciu zła i zaszczucia. Jest to pozycja, wobec której nie można przejść obojętnie.

Wojciech Onysków



Kobieta pracująca

czyli strzelam, łupię i nikogo się nie boję

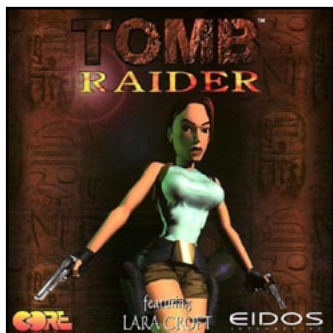
Przypuszczam, że nie ma wielu graczy, którzy nie wiedzieliby, kim jest **Lara Croft**. Co więcej, mnóstwo osób nie interesujących się grami będzie umiało jakoś określić kim jest owa dama. Bohaterka zwykłej, zdawałoby się gry zręcznościowej przerodziła się z czasem w ikonę popkultury. Pojawiała się na okładkach czasopism, w teledyskach i na srebrnym ekranie w dwóch filmach z udziałem **Angeliny Jolie**.

Seria Tomb Raider została zapoczątkowana w 1996 roku przez studio Core Design. W pierwotnych założeniach głównym bohaterem ich nowej produkcji miał być mężczyzna, ktoś w rodzaju Indiany Jonesa. Jednak strach przed pozwem wytwórni filmowej zwyciężył i panowie postawili na przedstawicielkę płci pięknej. Bohaterka miała się nazywać Laura Cruz i być z pochodzenia Meksykanką. Stało się jednak inaczej, bo w międzyczasie Core zostało przejęte przez brytyjskie Eidos. Nowe sze-

fostwo wołało, żeby główna bohaterka nosiła bardziej angielskie nazwisko. Ten zbieg okoliczności powołał do życia pannę Larę Croft – brytyjską arystokratkę, która przeszukiwała starożytne grobowce i ruiny w celu odnalezienia skarbów. Do legend przeszła już historia o tym, jak jeden z grafików, zmęczony wielogodzinną pracą, przypadkowo powiększył biust Lary ponad normę. Okazało się to być kluczem do sukcesu.

Historia opowiadana w grze była raczej tylko pretekstem do wpuszczania Lary w coraz to nowe tarapaty i nakłanianie jej do niezwykłych akrobacji. Jej misją jest odnalezienie starożytnego artefaktu zwanego Scionem. Z czasem Lara odkrywa, że ów artefakt pochodzi z Atlantydy i jest bardzo potężnym narzędziem.

Pierwsza misja rzuca nas w peruwiańskie Andy, gdzie poruszamy się głównie po jaskiniach. Taki stan rzeczy nie trwa długo, bo nasza bohaterka szybko odnajduje ruiny starożytnych osad i budowli. Oprócz Andów od-



Tomb Raider

wiedziemy także Grecję, Egipt i mityczną Atlantyde. W każdej z lokacji mamy do rozwiązania najróżniejsze zagadki, które nie są co prawda bardzo trudne, ale czasem zmuszają do zastanowienia. W rozgrywce postawiono bardziej na eksplorację. Trzeba przyznać, że projektanci poziomów odwalili kawał dobrej roboty, bo wszelkie lokacje są stworzone z dbałością o szczegóły i potrafią zrobić małe wrażenie nawet dziś. Jak na grę zręcznościową przystało, sporo jest skakania i akrobacji, bo jak łatwo się domyślić, niezbędne przedmioty znajdują się zwykle w najdziwniejszych miejscach. I czasem naprawdę trudno się tam dostać... W niektórych momentach miałem chęć roztrzaskać klawiaturę. A muszę zaznaczyć, że jestem zwykle spokojnym człowiekiem.

Grafika w pierwszym Tomb Raiderze była jak na owe czasy doskonała. Wrażenie robiły trójwymiarowe postacie, a Lara składała się z kilkuset wielokątów i poruszała się nadzwyczaj płynnie. Nie posiadała jednak jeszcze charakterystycznego warkocza, bo nie pozwalała na to moc obliczeniowa ówczesnych komputerów domowych. Także jej, hmmm, atuty były raczej trójkątnego kształtu i nie wyglądały przez to zbyt naturalnie. Niemniej jednak nie przeszkadzało to graczom w wielbieniu Lary.

W pierwszej części nasza bohaterka nie ma zbyt wielu broni do wyboru. Standardowe pistoleciki, strzelba, uzi i magnum – to cały arsenał naszej pani



archeolog. Więcej broni nie miało żadnego uzasadnienia, bo strzelało się stosunkowo rzadko. Swoją drogą to zabawne, że w starożytnych ruinach można odnaleźć amunicję do współczesnej broni.

W 2007 roku ukazał się Tomb Raider Anniversary, który to był próbą przeniesienia starych przygód Lary w współczesną oprawę graficzną. Trzeba przyznać, że próbą bardzo udaną. Ogólna idea poziomów pozostała w większości bez zmian, jednak część z nich uległa znacznej przebudowie lub skróceniu. Dzięki temu otrzymaliśmy tytuł, którym dobrze mogli bawić się zarówno weterani, jak i nowi gracze.

Czy warto po latach powrócić do pierwszego Tomb Raidera? Cóż, nie ulega wątpliwości, że oprawa audio-wideo bardzo się zestarzała. Czas nie naruszył jednak grywalności. Starsi gracze powrócą do czasów młodości, a młodzi będą mogli zobaczyć, o co tak naprawdę chodziło z tą Larą Croft.

Przemysław Ciszek

witaj Żegnaj **flor encjo** **Nowy Jorku!**

Z początkiem marca wypłynęło sporo informacji na temat najnowszej części **Assassin's Creed**, która w końcu porzuca wałkowaną od dłuższego czasu epokę renesansu i przenosi nas w czasy kolonizacji Ameryki Północnej. Nowy bohater, nowe możliwości, nowa jakość? Z opublikowanych dotąd informacji można śmiało powiedzieć, iż szykuje się najlepsza część serii.

Za powyższym stwierdzeniem przemawiają liczby i fakty. Za produkcję Assassin's Creed III odpowiada ekipa, która oddała światu Assassin's Creed II – czyli teoretycznie najlepszą grę z asasynem w roli głównej. Trójka powstaje już dwa lata, równoległe z inny-

mi tytułami Ubisoftu, a jej budżet jest dwukrotnie większy od jakiegokolwiek innej pozycji tego producenta. Prawda, że mówi samo za siebie?

Historia opowiedziana w trzeciej części wrzuci nas w burzliwy okres dla Ameryki Północnej, a konkretniej



w lata 1753-1783. Gracze wcielą się w rolę młodego metysa Connora. Jest on owocem miłości Indianki i Brytyjczyka, jednak jego usposobienie nie faworyzuje żadnej z tych kultur. Wychowany wśród Mohawków, jest świadkiem masakry w jego rodzinnej wiosce. Wydarzenie z młodości odbija piętno na charakterze Connora – postanawia walczyć z tyranią. Nie z kolonistami, a z tyranią. Świat w Assassin's Creed III jest bowiem szary, bez wyraźnego podziału na dobro i zło.

Connor nie wpłynie bezpośrednio na wydarzenia znane z historii, jednak będzie ich częścią. Wzorem poprzednich gier z serii, spotkamy postaci znane ze szkolnych podręczników. Wejdziemy w bezpośrednią interakcję z Jerzym Waszyngtonem, a w nowe technologie uzbroimy się u Benjamina Franklina, który z oczywistych względów zastąpi nam Leonarda da Vinci. Pojawi się także Charles Lee, jednak jego rola jest na razie owiana tajemnicą. Weźmiemy udział w oblężeniu Bostonu przez armię Jerzego Waszyngtona czy też w nocnym rajdzie Paula Revere'a. Ważnych wydarzeń z tamtego okresu będzie z pewnością więcej – potwierdzono między innymi wielki pożar Nowego Jorku. Okres historyczny pozwala wydedukować, iż będziemy obecni przy podpisywaniu Deklaracji Niepodległości, jednak na dzień dzisiejszy są to jedynie spekulacje.

Zmian doczekała się także sama rozgrywka. Trzecia część zmusi nas do częstszego przebywania na ziemi – wszystko za sprawą zmiany scenarii. Znaczną część gry spędzimy na



terenach pogranicza, które swoimi rozmiarami przewyższa lokacje znane z Assassin's Creed: Brotherhood. Co najważniejsze – nie będą to puste miejscówki, lecz wypełnione zadaniami i historią miejsca. W grze znajdziemy także dwa potężne miasta – Nowy Jork oraz Boston. Fani miejskiego le parkour będą zatem ukontentowani.

Konkretne zmiany zachodzą również w systemie walki. Connor jest myśliwym, zatem jego styl jest bardziej agresywny w stosunku do wcześniej poznanych asasinów. Używa on głównie dwóch broni – noża oraz tomahawka. Wymusza to na graczowi stosowanie śmiertelnego tańca, podczas którego kolejne truchła będą padać na ziemię z niezwykle pietyzmem. Twórcy zapewniają, iż wszystkie animacje zostały nagrane na nowo, z myślą o Connorze. Nie zapomniano także o ukrytym

ostrzu, które niejednokrotnie uratuje nas z opresji.

Assassin's Creed III dostanie zupełnie nowy system ekonomiczny. Koniec z beznadziejnym bieganiem po mieście i wykupywaniem kolejnych



placówek. Te będą zmieniać właściciela niezależnie od naszych poczynań. Gotówkę pozyskamy, polując na dziką zwierzynę i sprzedając pozyskane futra oraz trofea. Zniknie także klasyczny podział na frakcje. Zapomnijmy zatem o wynajmowaniu kurtyzan czy złodziei, aby odwrócić uwagę strażników. Pojawią się natomiast inne, bardziej realistyczne rozwiązania, również związane z poszczególnymi grupami społecznymi. Nie wiadomo na razie zbyt wiele na temat frakcji asasinów. Autorzy zapewniają jednak, iż wzorem poprzednich części, będziemy mogli korzystać z pomocy naszych braci.

Do lamusa odchodzi także stary silnik graficzny, napędzający dotychczasowe produkcje Ubisoftu. Nowy engine pozwoli udźwignąć dziesięć razy

więcej jednostek jednocześnie generowanych na ekranie. Dzięki temu obejrzymy bitwy historyczne, które wcześniej z racji ograniczeń technicznych, musiały być omijane. Modele postaci będą bardziej szczegółowe, a tekstury

wyraziste. Nie zabraknie również całej gamy pięknie nazwanych efektów graficznych, bez których żadna szanująca się gra nie może się obejść. Zaobserwujemy zmienny system pogody, mający niebagatelne znaczenie dla samej rozgrywki. Przykładowo, obfite opady śniegu utrudnią poruszanie się, a co za tym idzie, także walkę.

Assassin's Creed III to także zwieńczenie historii Desmond'a, który wciela się w kolejnych asasinów przy pomocy Animusa. Dowiemy się w końcu, coż takiego znajduje się w skarbcu Pierwszej Cywilizacji i jaki związek ma z tym Connor. Czy asasyni zdołają powstrzymać templariuszy? Jak zakończy się cała historia? Przekonamy się o tym już 30 października tego roku. Albo i nie, wszak Ubisoft znany jest z przedłużania tej serii w nieskończoność. Tak czy siak, do tematu z pewnością jeszcze powrócimy.

Wojciech Onyszków